GRZECHY MŁODOŚCI.

POWIEŚĆ

przez

THEURIET'A.

Przełożył z francuzkiego

S. M.

WARSZAWA.

Nakładem i drukiem A. PAJEWSKIEGO, Niecała Nr. 12.

1886.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ

Варшава 2 Января 1886 года.

Grzechy młodości.

I.

Pomiędzy Chalons a Nancy nie ma piękniejszej doliny nad Choiselle i rozkoszniejszego miasta nad Villote.

Dolinę zdobią pagórki, na których widać winnice, co przy pięknej pogodzie, nadaje im zieloną barwę uniformu, bardzo przyjemnego dla oka.

Pośrodku, między podwójnym rzędem lip, płynie Choiselle; wielka rzeka podczas zimy, łąka zaś podczas lata. Miasto zbudowane jest częścią na wzgórzu, częścią w dolinie; jadąc drogą od Nancy, zdaleka już dają się widzieć na wzgórzu szczątki starożytnego kościoła, kościołek nowy zawsze otoczony dokoła mnóstwem kawek, klasztor i wieża z dwoma zegarami. Pierwsze ulice miasta ciągną się ku wzgórzom a domki zbudowane na spadkach gór, wyglądają jak kaskada domów i kominów. Nakoniec, w samej dolinie, widać chaty wzdłuż obu brzegów rzeki, tu i owdzie wystające dachy młynów. W tem miejscu właśnie największe wre

życie i czynność; w górze panuje cisza i spokój, a nawet na bruku rośnie sobie trawa jakby w pustce.

Tu właśnie znajduje się owa ulica Akacyi, duma miasta wysadzona akacyami. Villote samo nie tyle jest pięknem, jak ów trakt wspaniały. Długi, szeroki, ciągnie się z południa ku wschodowi, przez cały ciąg lata wznoszą się tu ogromne kłęby kurzu i domy zalane są snopami światła.

Na chodnikach dość obszernych dzieci tańczą wesoło, gdy tymczasem słychać brzęk pszczół, osiadających akacye i rozchodzi się woń balsamiczna kwiatów.

Z okien domów widać dalszą część miasta, czerwone dachy, winnice i dzwony, które głuchym dźwiękiem nieustannie rozlegają się w powietrzu.

Na samym końcu tej pięknej ulicy, spokojnej i jasnej, tuż wprost nowo odbudowanego wiatraka i kuźni Schmidta, z której dzień i noc rozchodzą się odgłosy młotów, wznosi się piętrowy domek Lemoniera, poprzedzony tarasem od frontu, zawsze zamknięty jak jaki klasztor. Jest to dom jeden z tych, w którym czujemy rozkosz i wygodę. Chciałoby się tu zestarzeć patrząc w złotawe oblicze słońca i oddychając wonią kwiatów.

Tak zapewne myślał i jeden z lokatorów tego domu p. Bernard Destineuls, zagłębiony w fotelu, paląc fajkę, w małym pokoiku, gdy słońce majowe posyłało mu ostatnie swoje promienie.

Puszczając kłęby dymu aż ku sufitowi, który już poczerniał i zżółkł, nasz lokator uśmiechał się sam do siebie.

Policzki jego zapadłe, blade, zlekka zabarwił rumieniec; nos, z pewnem zadowoleniem wciągał zapach wonnego tytuniu, a sam onego właściciel zdawał się być zajęty jakiemś bardzo miłem wspomnieniem.

To gładził już siwiejące faworyty, to zkolei przebiegał okiem stare pożółkłe tapety, szpargały leżące na biórku, to wpatrywał się w zawieszone na ścianie obrazy.

Nareszcie powstał, przeciągnął ramiona, wyprostował skurczone nogi i rzekł głosem przerywanym:

— Czyste sumienie i starość spokojna:

Śmiejąc się zcicha, zatrzymał się przed obrazem pastelowym wyobrażającym młodzieńca.

Pan Bernard długo wpatrywał się w portret, a cała twarz rozjaśniła się powoli.

Portret ten był termometrem jego radości i zmartwień.

W chwilach najgorszego humoru odwracał się on wzgardliwie od portretu. W razie jakiej niespodzianej radości zbliżał się, mówił coś do płótna napoły już spłowiałego, jakby chciał się przed nim spowiadać ze swych wrażeń.

Bernard Destineuls nie miał więcej nad 58 lat, i z powodu jednak swej chudości i zaniedbania wyglądał na lat siedmdziesiąt.

Urodzony w Villote, spędził tu całą swoją młodość: młodość bardzo burzliwą, jak twierdzili jego znajomi.

Dla tych, co widzieli pana Bernarda, zgarbionego, cichego, jakby wystraszonego, idącego bardzo nieśmiało, owa historya o młodym, eleganckim, zakochanym Bernardzie, zdawała się być opowiadaniem przesadzonem, i mimowolnie uśmiechali się.

Sam on nie lubił słuchać opowiadań o przeszłości, a jeżeli ktokolwiek dotknął owej drażliwej materyi, powstawał zaraz, ziewał i wychodził, pochwyciwszy kapelusz.

W trzydziestym roku życia niespodziewanie wydalił się z Viilotte i puścił się w świat.

Minęło lat dwadzieścia: gdy nagle jednego dnia, mieszkańcy zawsze ciekawi, kto przyjeżdża omnibusem, ujrzeli wysiadającego podróżnego w płaszczu, który nie zakrywał zupełnie, długiego aż do kostek surduta.

Ten wychudły podróżny, nieco przygarbiony i zupełnie siwy, był pan Bernard. Nikt go poznać nie mógł. Bernard udał się wprost do domku swego przyjaciela Lemonier, miejscowego sędziego, z którym przemieszkał razem, pod jednym dachem, ośm lat.

Sędzia przyjął go, jakby marnotrawnego syna i pomieścił w pokoju, w którym widzieliśmy go na wstępie naszego opowiadania.

Bernard wprowadziwszy się niby na tydzień, przemieszkał ośm lat. Był on gościem i sekretarzem swego przyjaciela, za co otrzymywał niewielkie wynagrodzenie.

Jednego dnia, sędzia zmarł nagle, w testamencie znaleziono warunek, na mocy którego, Bernard został

wyznaczony opiekunem jego syna; w ten sposób musiał stale osiedlić się w Villote.

Życie jego odtąd, odznaczało się regularnością i ascetycznością prawdziwie klasztorną.

Wstawał przed świtem. Następnie szedł przez ulicę Akacyi do kościoła Ś-go Antoniego, gdzie słuchał mszy; po nabożeństwie spacerował udzielając jałmużnę; około południa powracał na obiad, zamykał się w swojej celce i zajmował interesami aż do wieczora.

Nie widywał prawie nikogo; stosunki jego na zewnątrz ograniczały się do znajomości z jedną wdową, również w podeszłym wieku, nazwiskiem Soumiers, mieszkającą w górnem mieście wraz z córką. Pani Soumiers, wdowa po hutniku z okolicy Clermont przybyła do Villote, nieco później po powrocie pana Bernarda i zamieszkaniu tegoż u sędziego Lemonier.

Wdowa i pan Destineuls znali się bardzo dawno, i ma się rozumieć znalazłszy się w jednem mieście, odnowili przyjacielskie stosunki.

Bernard zajmował się inreresami pani Soumiers, a dla córki jej okazywał uczucie prawdziwie ojcowskie.

Skoro panna Antonina Soumiers już doszła do wieku odpowiedniego stanowi małżeństwa, Bernard poruszył niebo i ziemię, dla wyszukania jej małżonka.

Ponieważ zaś panna nie miała innego posagu prócz młodości i piękności, przeto wkrótce poślubiła bogatego posiadacza ziemskiego, jeszcze silnego i zdrowego wdowca.

Pan Parisot, tak się nazywał ów jegomość, chciał

się koniecznie powtórnie ożenić, ponieważ dość znaczne gospodarstwo domowe wymagało gospodyni.

Pan Bernard uznał małżeństwo za bardzo stosowne dla Antoniny a wieśniak też ujrzawszy młodą dziewczynę, pełną życia i młodości, wnet się oświadczył o jej rękę.

Małżeństwo ułatwiono bardzo prędko, z ogólnem zadowoleniem; pan Destineuls uznał, iż w tym stanie rzeczy, położył niewzruszone podstawy szczęścia, młodej oblubienicy.

Niestety, illuzye te nietrwały zbyt długo.

Pewnego pięknego wieczoru, po wieczerzy, właśnie pani Soumiers i pan Destineuls zabrali się do partyi szachów gdy ktoś gwałtownie zadzwonił; a skoro drzwi otworzyła służąca, do pokoju wbiegła Antonina spłakana, a rzucając się matce na szyję, prosiła aby ją napowrót przyjęła do domu. Wedle opowieści Antoniny, po długiej rozmowie z małżonkiem, ten ostatni wypchnął ją za drzwi i tym sposobem, zmuszoną była przebiedz trzy mile piechotą.

Pan Bernard najfatalniej zawiódł się na panu Parisocie.

Dowiedziano się później, że tenże zaraz w pierwszych dniach pożycia, obchodził się z małżonką, jak prostą dziewką; że będąc wyłącznym panem i gruntów i inwentarza, począł tyranizować młodą żonę, która otoczona nieodpowiedniem towarzystwem, utraciła spokój i wesołość.

Wnet zniknęła na zawsze zgoda między małżonka-

mi i wreszcie doszło do tej ostateczności, że życie wspólne okazało się niemożliwem.

Wypadek ten był ciosem strasznym dla pana Bernarda. Zapadł on w stan niezwykłej melancholii i nie był widzialnym przez cały miesiąc. W ciągu tego czasu, w chwilach owej melancholii, portret zawieszony na ścianie, słyszał nieraz bardzo przykre kazania i wyrzuty; starzec zwrócił do niego swój gniew; oskarżał go o przyczynę zmartwień i przykrości i skończył tem, że portret płótnem odwrócił do ściany.

— Gdy sumienie czyni wyrzuty — rzekł, dopełniając tej czynności — starość staje się szeregiem dni przykrych, okropnych, trudnych do zniesienia.

Ale, w dniu kiedy rozpoczyna się nasze opowiadanie, pan Bernard otrzymał bardzo miłą wiadomość; po dość długich układach, pan Parisot unikając skandalu, z publicznego procesu o seperacyą urzędową, zgodził się piśmiennie na rozłączenie dobrowolne i przyrzekł zwrócić zapis, w summie 5000 franków, sporządzony przy zawarciu małżeństwa z panną Antoniną Soumiers. Można łatwo się domyśleć jak się ucieszył poczciwy Bernard. Szczęście rodziny Soumiers tak mu leżało na sercu, że się oskarzał nieustannie o przyczynienie niedoli Antoniny.

Układ ten, jakkolwiek nie gwarantował odzyskania utraconego szczęścia, ale zawsze dla dwóch ubogich kobiet był jakiem takiem zabezpieczeniem przyszłości.

Bernard rozpromieniony z radości, postanowił jeszcze tego samego wieczoru, pomyślną nowinę zanieść swojej przyjaciółce.

Już ostatni promień słońca ześliznął się po odwróconym do ściany portrecie, gdy Bernard z uczuciem błogości w sercu gotował się do wyjścia. Nagle przecież otworzyły się drzwi a na progu stanął jego wychowaniec.

Maurycy Lemonier ukończył kursa prawne i z tego tytułu, przybył do Villote, dla spędzenia tu zimy.

Był to bardzo przystojny chłopiec mający lat dwadzieścia i dwa.

Pierścienie blond włosów, otaczały mu głowę, niby las gęsty; oczy jego barwy orzechowej, płonęły życiem i energią, uśmiech czarowny ocieniał mu usta, nosił przytem brodę, którą pielęgnował bardzo starannie.

Piękne blond włosy i starannie uczesana broda, harmonizowały doskonale z cerą twarzy, okrytej rumieńcem, cała zaś postać oddychała życiem i szczerością, sprawiając na każdym bardzo przyjemne wrażenie.

Pan Bernard wydobył z kieszonki złoty, cebulkowaty zegarek:

— Wpół do ósmej — rzekł wpatrując się w niebo — już dzień od 1 Maja powiększył się o pół godziny. Maurycy, moje dziecko, już od lat wielu przywykłem spoglądać na tarczę zegarową. Lecz nigdy nie wydawał mi się dzień piękniejszym. Szczęście nawet promieniom słońca dodaje blasku. Idź, ubierz się mój chłopcze, oddamy dzisiaj wizytę paniom Soumiers.

W godzinę później, kuzyn Bernard, owinąwszy się w spłowiały płaszcz, zwolna że swoim wychowańcem postępował po drodze ku górnemu miastu.

Noc majowa rozlewała na około balsamiczne wonie.

— Dzień jasny, noc spokojna — szeptał Bernard, wdychając z przyjemnością ożywiające powietrze wieczoru.

Maurycy wziął pod rękę pana Destineuls.

— Posłuchaj kuzynie Bernardzie, tam w głębi klombu brzmi donośna pieśń słowika.

Bernard przystanął i nadstawił ucha.

— Potrzeba dwudziestoletnich uszów by słyszeć tak daleko; w moim wieku, mój przyjacielu, jednakowo słuchamy i pieni słowika i kukania sowy.

II.

— Tak, kochana pani, wszystko w porządku. Pan Parisot oddał mi posag Antoniny i zrzekł się skandalicznego procesu.... To prawdziwy kolec w nodze. Wprawdzie nie zmienia to stanu rzeczy ale zawsze będziecie przynajmniej żyły spokojnie.

Co mówiąc Bernard zatarł ręce i powoli począł zbliżać się do stolika na którym wdowa już przygotowywała tablicę do szachów.

— Ach — rzekła Soumiers głosem bolejącym, niczego już więcej nie pragnę prócz spokoju; przy mojem słabem zdrowiu, trudno mi przenieść wszystkie trudności, jakie mię spotkały w tym roku.

Przy tych słowach, pochyliła głowę w części okrytą czarnym włosem, choć na skroniach już się okazywały pukle siwych włosów. Była ona szczupła, blada, tylko czarne oczy zachowały jeszcze dawny blask młodości.

— Moja biedna przyjaciółko — odpowiedział Bernard z westchnieniem — gdybyś była sobie życzyła, przyjąłbym był na siebie wszystkie te przykrości, okrywając cię mojem nazwiskiem a nawet dziś, jeżeli chcesz.

— Proszę cię Bernardzie nie mówmy o tem — odparła wdowa zniżonym głosem, przyczem żywy rumieniec oblał jej policzki. — Bylibyśmy przedmiotem ogólnego pośmiewiska, a przytem obudziłoby to wspomnienia, które stokroć lepiej pozostawić na uboczu. W naszym wieku, myśleć tylko powinniśmy o skrusze, i przygotowywać się do spokojnej śmierci; to samo wypowiedział nam wczoraj na kazaniu ksiądz, w kościele Ś-go Stefana. Ale, ale, jakże wypełniasz pobożne modlitwy do Najświętszej Panny. Są one koniecznie potrzebne do zbawienia duszy....

— Słyszałem mówiącego — odrzekł Bernard — zawsze jednak przekładam nad niego, mojego proboszcza; nie jest takim potężnym mówcą, lecz zna doskonale serce ludzkie i umie przemawiać do duszy swoich parafian.... Przepraszam cię, jednakże należałoby nam zacząć grę. Czy bierzesz białe czy czarne.

— Czarne, a to z tytułu moich oczów.

Rozpoczęła się partya szachów.

Sala, stanowiąca główną część mieszkania pani Soumiers była bardzo obszerna, skromnie umeblowana

i położona w równej linii z ogrodem. Tuż przy wejściu, nieopodal od lampy i od grających, siedziała Katarzyna, stara sługa, zajęta przędzeniem na kołowrotku. W drugim rogu w załomie okna wychodzącego na ogród, można było widzieć, Maurycego Lemonier, rozmawiającego z Antoniną. Miała ona na sobie letnią sukienkę, na szyi zaś sylwetkę z aksamitu.

Była wysoka, wysmukła, a jej gorset pozwalał widzieć, prześliczne okrągłe ramiona. Czarne jej włosy rozdzielone na dwie połowy, spadały wielką kaskadą na plecy: spinały je dwie złote spilki i grzebień.

Oczy ciemne, pełne blasku, w połączeniu z uśmiechem powabnym ust, stanowiły uderzający kontrast z bladą cerą jej twarzy.

Można było odgadnąć, że ta młoda kobieta posiada nadmiar sił młodości, że jest w tym wieku, w którym natura obdarza czarami, i przed okiem wyobraźni rozwija nieznane a upragnione uroki; widząc ją, poeta porównałby do jasnego brzasku letniego dnia, w którym barwy różane zlewają się z kryształami świtu w którym drzewa tylko co przywdziały sukienkę zieloną młodości, gdy tymczasem już w gaju, zawiązały się wielkie pączki poziomek, a wiśnie poczynają się rumienić.

Antonina złożyła robotę na stoliku i powoli młodzi ludzie zachwyceni wonią płynącą z ogrodu, przestąpili próg pokoju i weszli w aleję, gdzie rozmawiali półgłosem.

— Sądziłam, że pan dziś wcale nie przyjdziesz — rzekła młoda kobieta.

— To wina pana Bernarda, który nie mógł się zdecydować. Oczekiwałem na danie mi znaku i umierałem z niecierpliwości.

— Ach złośliwy kuzynek. Gdybyś pan wiedział jak mi serce biło, kiedy zbliżała się ósma godzina. Za najmniejszym odgłosem kroków w ulicy, sądziłam że to pan: dopóki nie ścichły kroki niemogłam powstrzymać się od drżenia, poczem znowu opanowała mię niespokojność i obawa; jeżeli ktoś zatrzymał się przed naszym domem, serce uderzało silniej jeszcze.... aż wreszcie pan przyszedłeś. Po uderzeniu godziny ósmej byłam przekonaną, iż pana nie ujrzę tego wieczoru.... wszystko wówczas stało się dla mnie obojętnem.

— Droga Antonino, i ja w tym czasie odczuwałem jeszcze silniejszą tęsknotę.... byłem prawdziwie jakby na torturach. Pan Bernard nie mógł wyjść ponieważ pisał listy w ważnej sprawie; ja nie miałem odwagi pokazać się, sam jeden bez niego, jednem słowem zdawało mi się że upragniony wieczór nigdy się nie zbliży. Nakoniec nastał mrok, szybko udałam się ku górnemu miastu; przebiegłem ulicę obok waszego domu i ogrodu, i czekałem skoro rozpostarła się noc, skoro ujrzałem światło lampy przebijające się przez firanki w oknie, wślizgnąłem się przez otwór w parkanie i ukryty pod liściami orzecha, przez dwie godziny wpatrywałem się, nie będąc wcale przez was widzialnym.

— Gdyby cię był kto spostrzegł.... Wiesz że to postępek bardzo niestosowny.

— Ja wiem tylko jedno, że cię kocham... A ty Antonino?

— Czyliż potrzebuję ci powtarzać? Czyniłam wszystko aby stłumić to uczucie. Modliłam się, zadawałam sobie dobrowolnie pokutę... uczucie to zdwoiło się jeszcze w mojem sercu. O gdybym była w stanie zapanować nad sobą; gdybym zdołała zataić w sobie moje myśli, nigdybyś się nie dowiedział. Lecz, Maurycy, ty mi przyrzekasz, że nic nie uczynisz nigdy, coby mogło zmartwić moją matkę!

— Przyrzekam cię uwielbiać.

— Będziesz mię kochał jak przyjaciel, jak brat.

— Jak przyjaciel, jak brat serca, który goreje miłością ku tobie. Spójrz na ten promień srebrny księżyca, on mi będzie świadkiem, że dotrzymam przyrzeczenia....

Ich ręce splotły się i pozostały jedna w drugiej. W tej chwili księżyc promienny wypłynął na obłoki i z głębi kląbu odezwały się harmonijne dźwięki piosnki słowika.

Bernard w tej samej chwili podniósł głowę aby obmyśleć stanowczy cios; nagle w blasku światła księżycowego dostrzegł parę młodych ludzi idących ręka w rękę aleją. Te dwie ręce spojone ze sobą, były dla niego niespodzianem odkryciem. Siedział w fotelu jakby skamieniały; jego oczy, utkwione w postaci Maurycego i Antoniny, pragnęły zbadać treść ich rozmowy. Były to frazesy po których następowało długie milczenie; dwoje zakochanych, w samotnym ogrodzie, pod wpływem czarów i uroku, zdawali się zapominać o reszcie świata i żyć w gwiazdach.

— Panie Bernardzie, gdzie tedy jesteś. Otóż znowu pańskie roztargnienie nadeszło — odezwała się dama.

Bernard zwrócił się ku desce z szachami mocno zarumieniony.

— Przepraszam — mruknął — obmyślałem posunięcie.

I posunął na chybił trafił piona.

— Tym sposobem będzie to partya Jarnac'a, masz jeszcze czas poprawić się. Tymczasem ja szachuję króla i królowę konikiem. Bernardzie, mój przyjacielu, posunięcie to nie przynosi ci wcale zaszczytu.

— Chwilkę! Chwilkę! — krzyknął Bernard — pomyliłem się.

— Nie; nie; figura dotknięta, musi być posuniętą; jestem nieubłagana. Jeszcze dwa posunięcia, a otrzymasz mata panie Destineuls.

Wcale go to nie obeszło. Spojrzał znowu w ogród. Wprawdzie obie ręce już rozłączyły się, lecz młodzi ludzie rozmawiali ze sobą z wielkiem ożywieniem; ich spojrzenia płomienne krzyżowały się a usta uśmiechały.

— Czyliż się nie skończy ta przeklęta partya? — rzekł Destineuls.

— Szach i mat — zawołała pani de Soumiers. Tym razem jesteś pokonany, nie możesz tego zaprzeczyć.

— To prawda — odpowiedział Bernard swobodnie odetchnąwszy, jakby mu z piersi spadł wielki ciężar. Szybko zbliżył się do okna i głosem donośnym zawołał:

— Maurycy! idżiemy do domu.

— Już, dopiero godzina dziesiąta — odezwała się Antonina wychodząc z załomu okna.

— Mam migrenę — odpowiedział Bernard.

— Czy nie życzysz sobie kuzynie, abym ci przygotowała szklankę melissy — wtrąciła młoda kobieta.

Bernard dał znak przeczący.

— Czyliż nie widzisz jak jest zaambarasowany, bo dostał odemnie mata. Fe! jesteś kiepskim graczem. No, dobranoc panom. Destineuls nie gniewaj się.

Bernard już był w przedsionku.

Stara Katarzyna poprzedzała go niosąc lampę; Maurycy i Antonina ukryci w ciemności, ściskali się jeszcze za ręce.

Kiedy nareszcie znaleźli się na ulicy, pan Destineuls zaczął iść wielkiemi krokami, co doprowadzało do rozpaczy Maurycego pragnącego upajać się rozpamiętywaniem wypadków wieczoru. Cień wązki i cienki Bernarda migał się tylko w oddali, jakby coprędzej pragnął się od niego oddalić.

— Prześliczna noc! — zawołał nagle Maurycy, który potrzebował mówić i uwielbiać, zachwycać się:— patrz pan, panie Bernardzie, jakie urocze niebo.

Bernard obrócił się ku swemu pupilowi, otworzył usta, jakby do mówienia, potem wydał głębokie westchnienie i poszedł dalej.

Dotarli nareszcie do końca ulicy i znaleźli się przed domem Lemoniera. Bernard pospiesznym krokiem przebiegł taras, przywołał służącą głosem zdradzającym niecierpliwość i wyrwawszy jej z ręki świecę poszedł na schody. Maurycy towarzyszył mu jak zwykle aby

mu życzyć spokojnej nocy, lecz Bernard w chwili wejścia do pokoju, odwrócił się, spojrzał na Maurycego, wydał nowe westchnienie i zamknął drzwi przed nosem pupila, mocno zdziwionego niespodziewanem dziwactwem opiekuna.

III.

Światło świecy, w rękach Bernarda, rozjaśniło portret, na którego ustach błąkał się błahy uśmiech:

— Byłeś młodym tak jak oni — pomyślał starzec wpatrując się w własne rysy; — kochałeś jak oni, a teraz otrzymujesz za to karę. Skandal jakiśmy spełnili spada teraz na nas; ciąży na nas całą swoją wagą; nieubłagana sprawiedliwość zwraca nam ten sam kubek, do którego sami naleliśmy trucizny.... Ach te dwie ściskające się ręce! O gdyby to tylko był objaw szczerej, niewinnej przyjaźni? Niepodobieństwo! Znają się dopiero od czterech miesięcy. Przyjaźń braterska nie wybucha z taką piorunującą szybkością! To zbrodnicza miłość, to namiętność! O poznaję ją doskonale!... I to moja, moja wina! Dlaczegóż zbliżyłem do siebie dwa serca drgające życiem i ogniem młodości!...

Bernard błąkał się po swoim małym pokoiku, gestykulując i nieustannie wzdychając. Po godzinie irrytacyi ukląkł, aby odmówić codzienną modlitwę:

„Mój Boże, mówił kończąc, to ja zgrzeszyłem, ja też powinienem być ukarany. Niech Twoja mściwa ręka na mnie spocznie, mnie tylko jednego niechaj dotknie."

Rozebrał się następnie bardzo powolnie, mocno roztargniony, co przekonywało, że go zajmowały głębokie myśli.

Sen nadszedł, ale niespokojny pełen okropnych widziadeł.

W marzeniach tych Bernard widział nieustannie wielki ogród z aleją ginącą w oddali. Na jedwabistym gazonie tej alei spacerował uśmiechnięty, odmłodzony, prowadząc pod rękę piękną panią, ubraną wedle mody z roku 1825; młoda para postępowała powoli, śmiejąc się i rozmawiając pół głosem; nagle głowa młodej damy zbliżyła się do głowy młodzieńca, usta ich nachyliły się do pocałunku, gdy oto między nimi wyrosła wysoka, chuda postać jakiegoś mężczyzny, jakby jakiegoś potworu, który schwyciwszy za ramię Bernarda, zawołał wielkim głosem:

— Okradłeś mię z honoru!

Bernard przebudził się, usiadł na łóżku zlany zimnym potem; wydało mu się, że ów potwór jeszcze stoi przy nim, w oddaleniu słyszał nawet jakiś huk niezwykły.

Przetarł oczy i nagle swobodnie odetchnął, mniemany potwór był promieniem słońca przedzierającym się przez szczeliny okiennic a huk, hukiem Choiselli, która w ogrodzie toczyła swe fale, wezbrana niezwyczajnie skutkiem deszczów wiosennych.

Dzień zajaśniał w całym blasku, świetne promienie słońca uspokoiły nieco wzburzony umysł biednego starca.

— Należy koniecznie wynaleść środek — mówił ubierając się... — środek! Ci młodzi ludzie nie powinni się widzieć więcej ze sobą; potrzeba wyrwać te nierozsądną namiętność, jak podłe zielsko; Bóg pozwoli, że może nie będzie jeszcze za późno!... Najlepiej chyba oddalić ztąd Antoninę, ale czy pani Soumiers zgodzi się na opuszczenie Villote!

Bernard spędził cały dzień nad obmyślaniem planu.

Postanowił przedewszystkiem niedopuścić żadnego porozumienia pomiędzy Antoniną a Maurycym. Byłoby może najrozsądniej rozmówić się stanowczo w tym tak delikatnym przedmiocie, a potem energicznie i stanowczo zabronić mu komunikowania się z domem pani Soumiers; ponieważ jednak Bernard odznaczał się zawsze nadzwyczajną nieśmiałością a przytem przerażała go myśl skutków, obudzenia czujności młodzieńca; ponieważ z doświadczenia wiedział czem są dla młodych zapaleńców zakazane owoce: przeto uznał za najwłaściwsze działać tajemnie i w sposób jaknajenergiczniejszy.

Tego samego jeszcze wieczoru postanowił wykonać swój plan i w tym celu wszedł do sali, niosąc pod pachą pakę papierów okrytych kurzem i pyłem.

— Moje kochane dziecko — rzekł do zdumionego Maurycego — jesteś już pełnoletnim od roku, słusznie zatem będzie, gdy zajmiemy się twoimi interesami a głównie dochodami. Przyniosłem ci tedy sprawozda-

nie z majątkowego stanu a mianowicie: wydatki i dochody, od chwili śmierci twego ojca aż do obecnego dnia. Trzeba być ostrożnym, mogę umrzeć niespodziewanie, mój chłopcze, potrzeba zatem, abyś znał dobrze stan twego majątku na wszelki wypadek.

Maurycy przeklinając *in petto* wszelkie rachunki, wszelkie sprawozdania wraz z dowodami do tychże, zwrócił uwagę opiekuna, iż to jest zbyteczne, ale starzec oparł się temu z żywością i energią niezwyczajną.

— Rozpoczniemy tego wieczora — mówił Bernard — ale zdaje się, że choćbyśmy pracowali z jaknajwiększą gorliwością, pracy tej nie ukończemy wcześniej jak po upływie dni trzech.

Zabrano się zatem do roboty.

Bernard był nieubłagany, i nie pozwolił wychowańcowi na pominięcie choćby jednego arkusza papieru stemplowego.

Wieczorem trzeciego dnia, udzielił mu kilku chwil odpoczynku, bo i sam poszedł do pokoju, celem wypalenia fajki, gdy oto przybyła pani Soumiers.

— Co się z tobą dzieje? — zapytała wdowa; — wcale cię nie widać.... czy byłeś słaby?

— Słaby... o tak, moralnie — odpowiedział głosem bardzo poważnym.

— Mój Boże, cóż to znaczy? Pan mię przerażasz.

Pan Destineuls położył fajkę na stoliku, otworzył okno, żeby wypędzić dym, bo wdowa już zaczęła kasłać i zbliżywszy się do pani Soumiers rzekł:

— Gabryelo, zdaje mi się, że już bardzo dawno nie byłyście z Antoniną w Montmorency, że nie odwiedzałyście familii Soumiers.

— Tak — odpowiedziała dama w wieku podeszłym, kłopoty nieustanne i stan mojego zdrowia stanęły nam na przeszkodzie. Ale czy te odwiedziny są koniecznie potrzebne?

— Zawsze są potrzebne, sciślejsze rodzinne stosunki. Nieraz zdarzyć się może, że właśnie rada i pomoc rodziny jest nam niezbędną. Taki wypadek obecnie się przedstawił dla ciebie Gabryelo. Uczyniłem bardzo nieprzyjemne odkrycie; Antonina kocha mojego wychowańca Maurycego, potrzeba odwieść córkę twoją do Montmorency.

Pani Soumiers usłyszawszy te wyrazy niezmiernie się przeraziła. Jej rysy delikatne i już mocno strudzone życiem, zmieniły się w jednej chwili. Matka Antoniny zawsze odznaczała się nieśmiałością i brakiem energii, które to wady powiększyły się jeszcze skutkiem wieku i choroby.

— Czy oszalałeś Bernardzie — szepnęła głosem zniżonym.

— Bynajmniej. Na nieszczęście jestem zupełnie zdrów na umyśle. Powtarzam że się kochają, sam to widziałem pewnego wieczoru. To już nie miłość nieśmiała, poczynająca się, to już ogień, którego nie zagasisz łagodnem zdmuchnięciem; wiesz tak dobrze jak ja, jak ta drobna nawet iskra szybko, pierunem sprowadza pożar. Dziś jest niewinnem uczuciem, jutro zbrodniczą namiętnością. Czy przypominasz sobie pewien

dom do którego ktoś wszedł jako przyjaciel, a był wypędzony jak nikczemny zdrajca... Czy zapomniałaś już!

— Zamilcz Bernardzie — przerwała gwałtownie pani Soumiers zasłaniając sobie twarz rękami, nic nie zapomniałam, rzecz wcale niepożyteczna przypominać mi historyę, za którą pokutuję do dzisiejszego dnia.

— Jeżeli ci przypominam moja droga przyjaciółko, to jedynie w tym celu, aby ci na przyszłość oszczędzić wyrzutów, jakie może ci uczynić twoja córka. Bóg zwykle winy każe na dzieciach. Jest to prawo odwieczne, prawo odwetu. Wyjeżdżajcie jutro koniecznie.

— Pojedziemy jutro — odpowiedziała wdowa z westchnieniem: — potrzeba czasu na uprzedzenie moich kuzynów i na niejakie przygotowanie się do podróży.... Lecz Bernardzie któżby mógł przewidzieć podobny wypadek.

Bernard potrząsł głową i powstał, żeby odprowadzić panią Soumiers.

— Dowidzenia! — szepnął, kiedy ta zbliżyła się do drzwi. — Bądź rozsądną, nie mów nic takiego czegoby Antonina wiedzieć nie powinna.... kiedy nadejdzie pora powrotu napiszę do ciebie....

Pan Destineuls wszedł do sali w której pozostawił pupilla... — Dalej, mój chłopcze — rzekł — miejmy odwagę, byliśmy na stronnicy sześćdziesiątej trzeciej... jeszcze tylko kilkanaście dowodów....

Rachunki ukończono dopiero nazajutrz wieczorem...

Około godziny dziewiątej Maurycy został nareszcie oswobodzony.

Młody źrebak zamknięty długo w stajni, gdy nareszcie odzyska swobodę, gdy mu zdejmą z nóg pęta, nie buja z takim pośpiechem, z taką radością jak Maurycy, kiedy wreszcie mógł wydostać się z pod czujnego oka swego opiekuna. Natychmiast pospieszył na ulicę Villote już zupełnie cichą.

Wkrótce zbliżył się do domu pana Soumiers i dostał się do ogrodu.

Zręcznie przesunął się przez parkan i ukrył w krzakach i miał to szczęście, że ujrzał Antoninę siedzącą pod orzechem.

— Ach to ty jesteś Maurycy — rzekła młoda kobieta pół głosem; miałam przeczucie, że cię zobaczę dzisiejszego wieczoru; wyszłam do ogrodu na chybił trafił, bo nie podobnaby mi było odjechać bez pożegnania z tobą.

— Bez pożegnania!.. Odjechać! — zawołał głosem mocnego zdziwienia.

— Tak, mój przyjacielu, jutro odjeżdżamy do Montmorency. Mama nagle powzięła zamiar tej podróży; zdaje mi się, że coś podejrzywa i że chce nas koniecznie rozdzielić.

— Ależ — zawałał Maurycy — ta podróż jakże ma długo trwać?

— Mama nieoznaczyła terminu; wreszcie czy wrócimy wcześnie lub późno, potrzeba koniecznie nam się pożegnać, mój przyjacielu. Nasza miłość jest niepodobieństwem.... Pamiętaj o tem, że nie jestem wolna.... To co w młodej dziewczynie nazwanoby tylko lekko-

myślnością, dla mężatki już jest występkiem. Nie powinnam cię kochać. Bywaj zdrów.

— Nie — krzyknął Maurycy — takiego obojętnego rozstania ja wcale nie pojmuję. Niezgadzam się na ten rozdział; pójdę za tobą wszędzie i jeżeli będzie potrzeba opuszczę Villote. Ach dlaczegóż to przeklęte małżeństwo stanęło między nami jako niczem niepokonana przeszkoda?

— Maurycy, uspokój się, błagam cię. Przerażasz mię. Będę zawsze przyjaciółką twoją czy tu czy gdzieindziej, ale nie czyń tak nierozsądnego kroku i nie przyjeżdżaj do Montmorency. Zgubiłbyś mię na wieki. Odwagi, mój przyjacielu; podaj mi rękę. Szczerze ci dziękuję za te kilka dni szczęśliwych jakie spędziliśmy ze sobą.

Podała mu rękę a kiedy chciał ją ucałować poczuł na palcach łzy.

— Antonino, płaczesz... a życzysz sobie abyśmy się pożegnali na zawsze. Nie, nie, moja przyjaciółko; mimo to wszystko, będziemy się kochali; przyrzekam ci być rozsądnym, zachować się spokojnie i szanować cię jak moją własną siostrę, ale przyrzeczesz mi, że się zobaczymy jeszcze.

Nie odpowiedziała wcale.

Płakała cicho, pozostawiając ręce w jego dłoniach.

— Żegnam cię — rzekła nakoniec powstając. — Nie widzieć cię, przechodzi moje siły a jednakże...

— Pozwól mi uściskać rękę po raz ostatni — rzekł Maurycy pociągając ją ku sobie. — Nie chcę

mieć przed oczami tego smutnego obrazu, pragnę wyryć w mem sercu twój uśmiech słodki...

Poprowadził ją do drzewa, gdzie księżyc świecił w pełnym blasku i ujrzał ją uśmiechniętą, choć miała oczy pełne łez.

— Teraz jestem nieco uspokojony, do widzenia moja najdroższa, będziesz pisywać do mnie, nie prawdaż?

Kiedy jednak ujrzał przeczące poruszenie głowy, dodał:

— Będziesz sobie wyobrażała, że piszesz do swej przyjaciółki z pensyi.

— Bardzo dobrze — rzekła śmiejąc się—ale pod warunkiem że moja przyjaciółka palić będzie listy. Do widzenia. Idź już a uważaj, żeby cię kto nie widział.

Szybko weszła na schody.

Maurycy pozostał jeszcze chwilę, przyglądając się światłu przebiegającemu z pokoju do pokoju; potem kiedy nareszcie zrobiło się ciemno, urwał listek jeden z drzewa, o który otarły się włosy Antoniny i oddalił się powoli.

IV.

Nazajutrz rano, pani Soumiers wraz z Antoniną wsiadły do powozu odjeżdżającego do Montmorency. Pan Destineuls towarzyszył im aż do bióra dyliżansów.

Skoro wreszcie powóz ruszył, posłał im ręką po-

żegnanie i z pewnem zadowoleniem spojrzał za odjeżdżającemi.

— Najtrudniejsza rzecz została zrobiona, przynajmniej teraz niczego się nie obawiam.

Bernard z przyjemnością oddychał świeżem powietrzem poranku, potem spojrzał w niebo dla przekonania się czy będzie pogoda i zdecydował się użyć przechadzki aż do czasu śniadania.

Powoli wyszedł z miasta kierując się nad brzeg rzeki.

Z głową podniesioną do góry, z rękami w kieszeni, spacerował powoli, niezmiernie uradowany swoim planem. Tak szedł bardzo długo, zapomniawszy o godzinie i już znalazł się w znacznej odległości od Villote, gdy niespodzianie spotkał jakąś osobliwą figurę; w kamaszach aż po kolana, w wielkim słomianym kapeluszu, w kurcie myśliwskiej, nieznajomy z wielkiem zajęciem grzebał w ziemi kijem okutym.

Bernard zatrzymał się, a przysłoniwszy ręką oczy, usiłował rozpoznać rysy nieznajomego.

Był to jego stary przyjaciel, a raczej, przyjaciel jego przyjaciela Lemoniera, również miejscowy sędzia z Neuville.

— He! — zawołał. — Czy to pan Arystyd Blancpain?

Na ten wykrzyk, człowiek z kijem okutym, przestał swojej czynności, przedtem jednak zebrał starannie kilkanaście skorup, rozrzuconych w zbożu.

— Dzień dobry Bernardzie — rzekł — niezmiernie mię cieszy, że cię widzę. Uważasz, dodał, nachy-

liwszy się dla podniesienia skorupy, wiedziałem, że znajdę tutaj ślady Gallo-Rzymian. Oto dowód.

Podniósł jeden kawałek, zwilżył go językiem, otarł o brodę i podał zdumionemu Bernardowi.

Ten jednak w tym szczątku starożytnym, poznał pospolitą dachówkę, o czem nie zaniedbał natychmiast uwiadomić swego przyjaciela.

— Dachówka — rzekł sędzia pokoju głosem gniewnym — jest to skorupa z czasów gallo-romańskich, cząstka sprzętu używanego do *balneator*, ponieważ tu były niegdyś kąpiele, jestem tego najpewniejszy.

Pan Arystyd Blancpain był starożytnikiem i amatorem historyi naturalnej, dobrze znanym w Villote i w okolicy. Skoro pojawiał się na ulicy, z puszką zawieszoną przez ramię, zawsze obudzał wielką ciekawość. Jego kapelusz słomiany często ozdobiony jakim owadem przyczepionym na szpilce, jego kamasze, jego szerokie ramiona, a nawet i głowa śpiczasta i nos podobny do dzioba papugi, wywoływały uśmiech na usta przechodzących. Mimo tej ekscentryczności używał ogólnego szacunku, i jego zbiory znane były wszystkim.

— Lecz mój przyjacielu — zawołał głosem przedętym jak organista — co się stało z tobą. Już blisko rok, jak widzieliśmy się po raz ostatni. Bardzo źle, że zapominasz o przyjaciołach...

— Co pan chcesz — odpowiedział starzec — byłem niezmiernie zajęty sprawami mojego wychowańca. Jakże zdrowie pani Blancpain?

— Wyśmienite. Skarży się bardzo na pana. A ten mały Maurycy, cóż się z nim dzieje? Mówiono mi, że

został adwokatem... Czas mija szybko jak strzała. Żebyś zobaczył Żorżetę, to byś jej pan wcale nie poznał.

— Czy ciągle pozostaje na pensyi?

— Oho; już wielka panna, ma lat szesnaście... Wkrótce podobno trzeba będzie pomyśleć o mężu.

Pan Destineuls nadstawił ucha. Cudowna myśl zrodziła się w jego umyśle.

— Nie braknie konkurentów — mówił Blancpain który z natury był wielkim gadułą; — będziemy tylko mieli kłopot w wyborze, bo to piękna i bardzo ładnie wychowana panienka.

— Maurycy ma lat dwadzieścia dwa — odparł z kolei Bernard — dobrego wzrostu i zdrów jak ryba; przed nim piękna przyszłość, posiada niewielki majątek, ale pewny; byłbym bardzo szczęśliwy gdyby.... Jestem teraz ogromnie zajęty....

— Dwadzieścia dwa lat — zawołał sędzia — jak to czas płynie.... Mnie się zdawało, że jeszcze to dzieciak uganiający się za motylami. Bernardzie, ja zawsze lubiłem tego chłopca i bardzo nie pięknie z jego strony, że nam nie złożył wizyty po swoim powrocie.... Cóż to pana tak zajmuje?

— Zawsze tylko los wychowańca. Dla młodzieńca niedoświadczonego, życie w małem miasteczku daleko niebezpieczniejsze niż wśród wielkiego grodu. W Paryżu *np.* jest daleko więcej rozmaitości i łatwo je znaleść i łatwo się od nich uwolnić.... W małej mieścinie daleko prędzej można się znużyć i zostać próżniakiem. Kiedy głowa próżnuje i niczem nie zajeta, serce

wypowiada wojnę. Jeżeli do tego przyłączy się namiętność, bywaj zdrów panie bracie, robi się głupstwa i często zbacza z drogi prawej... i oto życie zatrute na wieki. Aż dotąd Maurycy, dzięki Bogu, niczem się nie splamił.... bywają jednak okazye do złego.... Jednem słowem chciałbym go ożenić.

Teraz przyszła kolej na pana Blancpain; również zaczął słuchać uważniej. Patrząc na Bernarda mrugał domyślnie okiem i uśmiechał się nieznacznie. Postać sędziego pokoju nagle przybrała wyraz majestatyczny, następnie poruszając głową na dowód porozumienia, rzekł:

— O tak, małżeństwo dla młodych jest portem spokoju i bezpieczeństwa.... *Intus aquae dulces*, jak mówi Wirgiliusz. Potrzeba dla Maurycego miluchnej kobieciny, którąby kochał, jak niemniej jakiego takiego posagu dla urządzenia odpowiedniego gniazdeczka. Eh! Eh! żeby tak dobrze poszukać, toby się może i znalazło.... Przyjdź do Neuville, pogadamy, a nadewszystko przyprowadź ze sobą chłopca....

Rozeszli się ściskając kordyalnie ręce.

Przy obiedzie Bernard rzekł do Maurycego....

— Panie Soumiers przymuszone były dziś rano odjechać do Montmorency.

Naiwny Bernard myślał, że wywoła tem wielkie wzruszenie, ale zawiódł się, bo Maurycy, bąknąwszy obojętnie: aha! zabrał się do krajania indora, aby tym sposobem nie zdradzić się.

— Ani sądziłem, pomyślał w duchu staruszek, żeby tak filozoficznie przyjął tę wiadomość; poczem do

dał głośno: — pani Soumiers kazała mi cię pozdrowić w swojem imieniu.

— Czy damy te, długo tam zabawią? — rzekł Maurycy z mocno bijącem sercem.

— Ba! — odpowiedział Bernard — to zależy od bardzo wielu przyczyn i powodów; ona sama dobrze nie wie. Przy tej sposobności opowiedział wychowańcowi o spotkaniu pana Blancpain.

Młodzieniec słuchał z pozorną ciekawością i kiedy mu zaproponował odwiedziny u sędziego, przyjął to z niemą radością.

Pan Blancpain powróciwszy do domu również opowiedział małżonce o spotkaniu się z panem Destineuls a nadto o przypuszczalnym zamiarze znajomego.

Pani Blancpain, kobieta niezmiernie przewidująca i bystrego umysłu, odgadła natychmiast co miał na myśli Bernard, zwierzając się mężowi. Jak każda matka, pragnąca szczęścia dla swego dziecka i ona równie myślała już o młodym Maurycym.

— Pan Maurycy — rzekła — jest chłopiec dobrze wychowany, posiada mająteczek dość spory, doskonale administrowany przez jego opiekuna; ponieważ ten ostatni pragnie go ożenić to oniemal jestem pewna, że jeszcze przed zimą nasza Żorżeta będzie panią Maurycową Lemonier. Trzeba napisać do pana Destineuls i zaprosić go, żeby kiedy przybył do nas wieczorem wraz ze swoim pupilem.

Jakoż w kilka dni Bernard otrzymał list, w którym pan Blancpain w imieniu swojem i żony, zapraszał go do Neuville wraz z Maurycym na zielone Świątki.

— Żorżeta — pisał sędzia w postscriptum — ucieszy się, odnawiając znajomość z towarzyszem młodości. Spodziewamy się was w sobotę, wieczorem.

— A zatem — zapytał Bernard Maurycego — jakaż odpowiedź!

— Że przyjmujemy zaproszenie — zawołał Maurycy z wielkiem ożywieniem, będąc od rana w najgorszym humorze.

Twarz Bernarda rozpłomieniła się.

— Doskonale! Moje lekarstwo poczyna działać— pomyślał. — Maurycy odzyskał już dawną wesołość; nie była to zatem namiętność, ale wybryk gorącej krwi nic więcej. W moich czasach kochano się więcej seryo, dzisiejsza młodzież odznacza się niesłychaną lekkomyślnością.

Kiedy pan Destineuls, winszował sobie tak znakomicie przeprowadzonego planu, Maurycy w ogrodzie już po raz dziesiąty, odczytywał list nadesłany z Montmorency, przez umyślnego posłańca:

„Nie chcę dłużej trzymać cię w niepewności co do mojej osoby — pisała Antonina — ponieważ mógłbyś mię posądzić, że zapomniałam o tobie. Zapomnieć! O mój przyjacielu, myślę o tobie zawsze, w każdej minucie. Moja matka odeszła do swego pokoju. Oto godzina, w której byłam zawsze tak szczęśliwą, oczekując na twoje przybycie.... Moje serce uderza silnie gdy przypomnę sobie ową radosną chwilę..... wyobrażam sobie, że oto otwierają się drzwi i ty wchodzisz.... Niestety zamiast ciebie, wchodzą figury obce, obojętne. Dzień zamiera, niebo ciemnieje; słyszę jedy-

nie wiatr hulający po okopach i równy krok szyldwacha, przechodzącego około gmachu magistratu. Nie mogłam płakać.... dusiłam się.... Dziś jestem daleko spokojniejsza; korzystam z tej chwili, aby napisać do ciebie, aby ci donieść, że wciąż myślę o tobie. Wiem, że to wina nowa, dołączająca się już do dawniejszych win moich; niestety! cóż czynić, kocham cię, i nie jestem w stanie ukryć tego przed tobą.

Maurycy okrył papier pocałunkami i złożył go starannie. Następnie usiadł w altance, patrzył na drzewa, na niebo.... na kwiaty.... i znowu wyjął list i czytał go dopóty, dopóki nie nauczył się na pamięć.

V.

Wieczorem, w sobotę, w przeddzień Zielonych Świątek, Maurycy i pan Destineuls puścili się pieszo w drogę do Neuville, trzy dobre mile. Droga wiodąca do tego miasta przez las i nad brzegiem rzeki, miejscami była piasczystą, miejscami pokryta zielonością.

Wieczór był prześliczny; Maurycy, zachwycony, okazywał wyśmienite usposobienie, co niezmiernie radowało Bernarda.

Rwał on, co mu wpadło pod rękę, polne kwiaty, iris, nagietki i goździki, mówiąc do Bernarda:

— Będzie to bukiet dla tych pań, a pan Blancpain będzie mógł swoje robaki i ptaki żywić nimi przez cały tydzień.

Pan Destineuls trzymając w ręku olbrzymi bukiet, równie odmłodniał i śmiał się z całego serca.

Już ciemniało, kiedy przybyli do domu sędziego.

Zbudowany na niejakiem wzniesieniu, otoczony był w koło pnącemi się roślinami i dzikiem winem.

Sędzia oczekiwał gości na progu.

Następnie pobiegł naprzeciw i omało nie udusił Maurycego w objęciach.

— Otóż nareszcie! — wołał uradowany — Przybyłeś chłopcze. Chodźże, przedstawię cię moim kobietom.

W salonie było ciemno.

Sędzia w nadmiarze radości zaprezentował upragnionych gości:

— Pan Bernard i pan Maurycy Lemonier, dwóch synów marnotrawnych; dwóch zbiegów, nareszcie pochwyconych. Wyście ich nie poznały, nieprawdaż? Tak zwykle bywa kiedy się kogo lata całe nie widzi. O moi panowie, będziecie mieli ciężkę przeprawę z usprawiedliwieniem w obec moich dam.

— Nie słuchajcie panowie mojego męża — odezwała się pani Blancpain słodkim głosem — jesteśmy wam bardzo wdzięczne żeście raczyli przybyć.

Pani Blancpain była osobą średniego wieku, mała, chuda, nerwowa i ruchliwa. Jej włosy blond zwinięte w naturalne pierście nie były dobrze zakonserwowane, zakrywały one marszczki twarzy; spojrzenie miała uko-

śne, wyraz oczów był istotnie lisi; usta wązkie, z uśmiechem wysilonym a nos spiczasty nie zapowiadał zbyt szlachetnego usposobienia. W Villote, gdzie wszyscy doświadczali pocisków jej ostrego języka, znana była pod imieniem „*damy ze spiczastym nosem*“ twierdzono powszechnie, że przy odrobinie woli, mogłaby wykonać rzeczy niemożliwe i niedostępne dla innych.

Maurycy zaproszony do salonu przez pana Blancpain, znalazł się nagle obok Żorżety. Młoda dziewczyna, nie odznaczała się ani pięknością ani brzydotą, lecz miała lat szesnaście, piękne, niebieskie oczy, rumieniec na twarzy, zęby śnieżnej białości, włosy bujne blond: jednem słowem była to zwykła, naturalna piękność. Ruchliwość jej i sposób obejścia jednały odrazu wszystkich.

Kolacya była bardzo wesoła, Aristid prawił o anglo-rzymianach. Pani Blancpain wywoływała swojem mieszaniem się do dysputy nieustanne sprzeczki; lecz słodycz Bernarda i zapał jego pupilla, oraz dowcipy Żorżety zagłuszały ów dysonans. Bukiet Maurycego położono na stoliku. Żorżeta dodała do niego konwalii, która wydzielała na cały pokój, bardzo przyjemną woń. Przy deserze Aristid zaproponował zdrowie autora bukietu.

— Nie — rzekł Maurycy — nie moje, ale tych pięknych rączek, które go przekształciły.

— Brawo, a więc zdrowie młodzieży! — zawołał nagle Bernard z błyszczącem okiem — zdrowie obojga, zdrowie młodej pary!

Zadźwiękły kieliszki.

Nazajutrz cała rodzina wraz z gośćmi słuchała summy w kościołku, a po obiedzie, udano się na wycieczkę do lasku w sąsiedztwie.

Pani Blancpain, niecierpiąca spacerów, pozostała w domu. Pan Destineuls i sędzia towarzyszyli jedynie młodej parze, która biegła wesoło ścieżką. Na każdym kroku słychać było głośne ich śmiechy: Bernard nucił śpiewkę, krzaki brzmiały wesołą muzyką ptaków: wilg i kosów, z głębi zaś gaju dobywało się melancholiczne kukanie kukułki, jakby dla miarkowania niewczesnych wybuchów radości wiosennej.

— Nie prawdaż, że ona piękna, szepnął pan Blancpain—wskazując na młodą dziewczynę w różowej sukience.

— Ależ mnie się zdaje — zawołał Bernard — że jest czarującą.

— A jakże się ona podoba Maurycemu?

— Czyliż nie widzisz, że się już do niej umizga — rzekł starzec, biorąc zbytnią wesołość wychowańca, za upojenie poczynającej się namiętności. Ach kochany panie Aristydzie, gdybyśmy ich mogli pożenić, byłbym najszczęśliwszym człowiekiem.

— To równie upragnione moje życzenie — odparł pan Blancpain — co do mnie, możesz liczyć na moje słowo.

Bernard ze łzami radości w oczach serdecznie uściskał rękę sędziego.

Nazajutrz, pożegnano się, Maurycy jednak umiał przyrzec, że powróci tu wkrótce.

Jakoż stawił się następnej niedzieli i wkrótce te odwiedziny przyjęły taki charakter, że niepotrzebował być zapraszanym. Każdej soboty wieczorem oczekiwano Bernarda i jego wychowańca, a służba otrzymała rozkaz przygotowania dla nich pokojów. Za każdą wizytą, kuzyn Bernarda stawał się coraz weselszym, odmładniał z każdą chwilą....

— Brawo! — mówił do siebie — kocha ją! Bo jakżeby nie miał kochać? Jest taka świeżutka, taka wesoła. Zapomniał obecnie o Antoninie! Bóg widocznie rozciągnął nademną opiekę.

Biedny Bernard, jakże się łudził. Mówiąc prawdę do bywania w domu sędziego, nie pobudzała Maurycego żadna miłość. W nieobecności Antoniny, pobyt w Villote stawał się dla niego nieznośnym: czuł się osamotnionym i błąkał się jak dusza po czyscu. Dla tego też z prawdziwą radością uchwycił się projektu Bernarda zmiany miejsca choć na chwilę; odwiedziny u sędziego były pewną rozrywką dla jego umysłu; znalazł on w Żorżecie towarzyszkę wesołą, szczerą; podwójnie cieszył się w jej towarzystwie, najprzód dla tego, że sądził iż znajomość z młodą dziewczyną pozostanie bez następstw, powtóre, że była to jedyna osoba, z którą mógł rozmawiać o Antoninie. Panna Soumiers na pensyi w klasztorze, była opiekunką panny Blancpain, jak to ma miejsce w klassie niższej i Żorżeta z naiwnością dziecka opowiadała rozmaite szczegóły o pobycie w klasztorze, o Antoninie; bezwiednie ożywiając miłość Maurycego, którego w głębi serca, już uważała za swojego narzeczonego.

Maurycy też chętnie przybywał do Neuville, aby marzyć o ukochanej Antoninie i przygotowywać korespondencyą, którą nieustannie prowadzono. W Neuville czuł się on daleko swobodniejszym, gdy natomiast Bernard był pewnym, iż w obec tej ślicznej panienki, zapomniał zupełnie o dawnych uczuciach.

Wizyty nieustanne Maurycego rozgłosiły się w okolicy.

Nauczyciel z Villote spotkawszy Żorżetę i Maurycego idących pod rękę, uważał za stosowne uwiadomić o tem swoją małżonkę, i nowina za pośrednictwem języków kobiecych przeniknęła do wszystkich czterech końców miasta, szybciej, niżby wysłano ją elektryczną iskrą.

— Otóż mamy na przyszłą zimę gotowy ślub — mówiły kumoszki; — będzie z nich piękna para!... Eh! Eh! Blancpain mają dobry węch i nie zły wcale uczynili wybór. Kiedy mówiono o tem w sekrecie pani Blancpain, w początku zapierała się, ale z tak domyślnym uśmiechem, że był on potwierdzeniem chodzących pogłosek. Co się tycze pana Destineuls nie potrzebował się ukrywać ze swojemi zamiarami i życzeniami.

Jeden tylko Maurycy o niczem nie wiedział, oddany swej namiętności. Pozwolił on iść wypadkom i nie oburzał się wcale na rozchodzące się pogłoski; wzruszał tylko ramionami, jeżeli przypadkiem, w obec niego, sędzia odzywał się w tej materyi.

W końcu lipca Bernard pisał do pani de Soumiers:

„Bogu dzięki, kryzys minęła, możecie powrócić do Villote.”

W kilka dni później, Maurycy otrzymał bilecik skreślony pospiesznie ręką Antoniny:

„Nakoniec opuszczamy Montmorency, wygnanie skończyło się. Jestem bardzo szczęśliwa: naprzód, ze względu na moją matkę, która mocno cierpiała w tym klimacie, powtóre ze względu na mie, ponieważ usychałam, zdala od ciebie, mój jedyny przyjacielu. Zdaje mi się, że niebo dotąd pokryte chmurami, wyjaśnia się powoli. W przyszły poniedziałek, to jest za dni trzy, przybędziemy do Villote. Za trzy dni, mój drogi, za trzy dni! Jakże wiele będę miała do opowiedzenia; jakież wesołe spędzać będziemy wieczory.“

Rozkoszną tę nowinę otrzymał Maurycy, rano w sobotę i skakał prawie z radości. Nie mógł pozostać na miejscu, zdawało się mu, że trzy dni spędzone w Villote, będą dlań wiekami. Postanowił przepędzić je w Neuville.

Rzeczywiście była to wilia święta, i Żorżeta przygotowywała się do balu, jaki miał się odbyć nazajutrz. Młody Lemonier, był przyjęty klaskaniem w ręce; Żorżeta okazała mu nową suknię i oświadczyła, że go zamawia do dwóch pierwszych kontredansów. Pan Blancpain oświadczył, iż pozostanie w domu, Maurycy zatem towarzyszył córce i matce. Tańczono do godziny trzeciej nad ranem i już dobry był dzień, kiedy wrócili do domu. Maurycy pod wrażeniem balu i drżąc na myśl, że tego jeszcze wieczoru ujrzy Antoninę, nie mógł się zdecydować na spoczynek i wyszedł na świeże powie-

trze. Na progu spotkał pana Blancpain, który całą noc przespał wyśmienicie.

— Już na nogach — krzyknął sędzia. — O ja to doskonale rozumiem. Kiedy byłem młodym, bal wywierał na mnie takie samo wrażenie. Starałem się usnąć, ale w uszach brzmiała mi muzyka i w nogach odczuwałem nerwowe drganie. Jeżeli się panu podoba, przejdziemy się, dopóki nie podadzą śniadania. Nic tak nie uspakaja nerwów jak świeże powietrze.

— Bardzo chętnie — odrzekł Maurycy—miałem zamiar zaproponować panu to samo.

— Chodźmy do lasu, będziemy mieli jeszcze świeższe powietrze — odezwał się Aristyd. — Zaprowadzę pana do miejscowości zwanej: *mont de Fains* do przepysznej doliny, z przecudnym krajobrazem i wykażę panu słuszność mojego twierdzenia. Co do nazwy tego miejsca od *Fanum*.

Postępując powoli, sędzia zaczął majaczyć i rozprawiać o Gallach-Rzymianach.

— Patrz pan, twierdzenie moje popierają aż trzy argumenta. Naprzód forma, kształt i figura położenia, następnie ustęp z komentarzy Cezara a nareszcie i tradycya: kiedy naodwrót moi przeciwnicy mają na swoje usprawiedliwienie tylko nędznę literę *s*, jaką znaleźli w aktach miejscowych, pisanych przez nieznanego kopistę w wiekach średnich.

— Pan masz najzupełniejszą słuszność — odparł Maurycy. — *Fains* najwidoczniej pochodzi od *Fanum* a litera *s* jest tylko przypadkowym dodatkiem.

Rozmowa była niezmiernie nudną, nareszcie znaleźli się w lesie. Maurycy z przyjemnością przysłuchiwał się śpiewowi ptasząt. Promienie słońca przenikając do głębi gęstwiny, rysowały na krzakach fantastyczne smugi światła.

— Dzisiejszego wieczoru — myślał — kiedy te promienie poczną znikać, ustępując cieniom, kiedy wszystkie te ptaszyny udadzą się na spoczynek, moje szczęście zajaśnieje i promienić się będzie z kolei. Dzisiaj zobaczę Antoninę: tego wieczoru i jutro i pojutrze! Jestem pewnym, że bardziej jeszcze wypiękniała. Za każdym razem, kiedy ją widzę, odnajduję w niej nowe powaby. Skoro kuzyn Bernard uda się na piętro do swojego pokoju, kiedy nastanie noc, pójdę na miasto i udam się uliczką prowadzącą do ogrodu. Wprawdzie naprawiono parkan w czasie jej nieobecności.... ale w dwóch skokach go przesadzę....

— Śliczny chłopiec — mówił z kolei do siebie sędzia. — Będzie to piękna para. W zimie zamieszkają w Villote, na lato przybędą do Neuville. Urządzę im ładne mieszkanko nad ogrodem i ozdobię gabinet Maurycego kollekcyą moich motyli.... A później przyjdą dzieci. Pozwolę im skakać na moich kolanach. Cały dom napełnią ich krzyki.... To dopiero będzie pyszne!

Przybyli do punktu górującego nad wsią *de Fains*. Zdala widać było dachy i dymiące kominy. Przed oczami dwóch podróżnych rozwinął się przepyszny krajobraz, w głębi którego widać było rysujące się Villote.

Już słońce przygrzywało, między wierzbami błysz-

czały srebrne tonie rzeki, słychać było nawoływania żniwiarzy i turkot toczących się po drodze wozów.

Sędzia wziąwszy za rękę Maurycego pokazał mu winnicę, w blasku słońca.

— Patrz na tę przestrzeń zarosłą winogronami — rzekł głosem śpiewającym — ona będzie należyć do ciebie.

— Przepraszam pana bardzo — odpowiedział Maurycy — ale nie dobrze zrozumiałem.

— Wszak to bardzo naturalne — wyrzekł sędzia — ofiaruję ją mojej córce, a ponieważ należeć ona będzie do ciebie, jako do małżonka....

— Do mnie? Ja, małżonkiem panny Żorżety!— wykrzyknął Maurycy. — Przepraszam pana po raz drugi, ależ ja nie myślałem nigdy o ożenieniu się i dla tego zaszczytna pańska propozycya wprawia mię w zdumienie.

— Jakto? Nie myślałeś nigdy o ożenieniu się. Pan żartujesz, panie Maurycy. Destineuls zapewnił mnie najuroczyściej, że kochasz Żorżetę i że mogę was uważać jako zdaklerowanych już małżonków. Więc jestem oszukany?

— A! — bąknął Maurycy.

Na chwilę umilkł a potem przerywając kłopotliwe milczenie, rzekł:

— Panie Blancpain, jestem mocno zgryziony tem co zaszło. Stałeś się pan ofiarą nieporozumienia. Pomimo jednak szacunku, jaki żywię dla domu państwa, nie mogę wypełnić zobowiązania, tak lekkomyślnie przyrzeczonego panu przez pana Bernarda.

Pan Blancpain cofnął się i patrząc wzrokiem pogardliwym na Maurycego rzekł:

— Młodzieńcze! młodzieńcze. To wcale nie pięknie. Pan sobie zażartowałeś ze mnie. Cóż powiem pańskiemu ojcu?

Odwrócił się od niego i poszedł wprost do Neuville.

VI.

Pan Bernard, w pokoiku, który już znamy, palił fajkę. Z trzech kościołów w Villote, odzywały się dzwony zapowiadające Anioł pański, przez gęstwinę dzikiego wina przeciskały się promienie słoneczne; słychać było lekki szmer unoszących się w powietrzu owadów; w pokoiku pan Bernard uśmiechał się wesoło, twarz jego promieniała radością. Wyglądał jak szczęśliwiec, któremu powiodły się wszystkie zamiary.

— O tej godzinie — myślał. — Maurycy jest przy Żorżecie; być może nawet oznaczyli już dzień, w którym się połączą dozgonnym węzłem miłości. Szczęśliwa jest młodość! Dziecko, któremu powiodło się położyć ostatnią kartkę na pałacyku budowanym z tektury, nie doznaje zapewne większej uciechy jak Bernard w tej chwili.

Nagle otworzyły się drzwi i na progu pokazał się Maurycy zaczerwieniony, okryty kurzem i zadyszany.

— Panie Bernardzie — rzekł usiłując miarkować się. —Pan Blancpain zaproponował mi niespodzianie rękę swojej córki. Czy pan już w tym względzie zażądałeś od niego słowa?

— E moje kochane dziecko — odparł Bernard wesoło — nie chciałem uprzedzać twoich zamiarów. Czy sądzisz, że twoje nieustanne wizyty i przysiadywanie się przy Żorżecie, nie były wymowniejsze, niż żądane przezemnie słowo? Widziałem, że się kochacie i chciałem was uwolnić od ostatecznego kroku, który zawsze bywa dość kłopotliwym.

— Jednem słowem, pan żądałeś ręki Żorżety?

— Tak jest mój kochany, czyż postąpiłem nie dobrze!

— Lepiejby było stokroć gdybyś się był nie mięszał wcale, ponieważ nie kocham Żorżety i nigdy nie będę jej mężem.... Na honor, do kojarzenia małżeństw nie masz pan szczęśliwej ręki.

Co wyrzekłszy, młodzieniec wyszedł, zatrzaskując drzwi za sobą.

Pan Destineuls osłupiały pozostał bez ruchu i bez mowy. Wypadła mu z rąk fajka i rozbiła się w kawałki; patrząc na to, wyrzekł:

— Otóż, znowu błąd młodości spadł teraz całym ciężarem na moją głowę... Nie dość wyrzutów sumienia, potrzeba jeszcze żalu i pokuty.

Pozostał cały dzień w swoim pokoju i nie chciał nawet zejść do kolacyi.

Tymczasem za zbliżeniem się nocy Maurycy wybiegł na miasto. Był pod wrażeniem febrycznej gorącz-

ki. Myśl o znieważeniu nietaktownem postępowaniem rodziny Blancpain i słowa cierpkie, jakich użył do swego opiekuna, nie dawały mu spokoju; pragnął o tem wszystkiem zapomnieć przy Antoninie. Postanowił jej wszystko opowiedzieć i zażądać stanowczego zdania. Nadaremnie powtarzał sobie: ujrzę ją wkrótce, rozgniewana twarz sędziego i zdumienia malujące się na obliczu Bernarda, ścigało go na każdym kroku. Pobiegł pędem ku znanej mu altance i z prawdziwym szałem pochwycił za rękę młodą kobietę, lecz ta groźna, poważna, milcząca, zlekka odepchnęła go od siebie:

— Nie — rzekła głosem urwanym. Dlaczego do kłamstwa dodawać nowe kłamstwo....

Umilkła a potem mówiła znowu nie patrząc wcale na Maurycego:

— Przyszłam tutaj jedynie po to, aby pana prosić o zwrócenie mi listu jaki nierozsądnie niedawno pisałam do pana; przyrzecz mi pan, że go oddasz i oddal się. Moja matka jest cierpiąca i może obudzić się lada chwila.

— Antonino! Antonino! — zawołał Maurycy, jakąż więc popełniłem zbrodnię?

— Zbrodnię? Nie mówiłam tego: jest to tylko lekkomyślność, nic więcej — dodała z goryczą w głosie. — Pan się żenisz. Jest to rzecz bardzo naturalna, w pańskim wieku, na pańskiem stanowisku; dla czegóż mam być oszukiwana?

— Znowu to małżeństwo — zawołał młodzieniec.

— Więc to prawda? wątpiłam mimo zapewnie-

nia pana Bernarda, mimo pogłosek obiegających po mieście.

— Fałsz najwierutniejszy. Małżeństwo to jest wynalazkiem pana Bernarda. Ja też oświadczyłem dziś panu Blancpain, że ono nigdy nie nastąpi. Rozumiem też bardzo dobrze, co mogły powiedzieć ciekawe, miejskie plotkarki, ale ty, ty Antonino, jakże mogłaś choćby na chwilę w to uwierzyć! Przysięgam ci, że wszystko jest kłamstwem!

Wyciągnął do niej rękę i tym razem oddano mu uścisk.

— Dziękuję ci — rzekła — bardzo mię to wiele kosztowało, żem była zmuszona posądzać cię o fałsz; lecz ponieważ pan Bernard sobie tego życzył, małżeństwo to przyjdzie do skutku. Nie chcę być przeszkodą do twej przyszłości.... Wszak wcześniej lub poźniej nastąpić musi.

— I ty także — odparł Maurycy. Powinnaś przynajmniej wiedzieć, że małżeństwo to byłoby zobopólnem nieszczęściem i Żorżety i mojem. Tyś była tylko przytomną mojemu sercu. A jednakże.... O ty mnie nie kochasz?

— Wiesz dobrze, że tak nie jest. Skoro dziś rano dowiedziałam się o tej nowinie utraciłam rozum, przestałam myśleć. Przez cały dzień cierpiałam niewypowiedziane męki.... dusiło mię coś.... Patrz, czy sądzisz, że łzy moje płyną bez przyczyny?

— O przebacz mi moja najdroższa — rzekł młodzieniec, łzy twoje padają rozpalonym ołowiem na moje serce.

— Przeciwnie, są one łzami radości — rzekła kobieta zaledwie dosłyszanym głosem.

Usiedli pod orzechem. Cisza grobowa otaczała ich dokoła. Wszystko było tak milczące, że prawie można było słyszeć uderzenia ich serc. Ich ręce spoiły się, byli tak blisko siebie, że ich czoła dotykały się. Nagle Antonina wybuchła nowym płaczem. Maurycy objąwszy ją ramieniem spił te łzy płynące dla niego. Nadaremnie młoda kobieta usiłowała uwolnić się z jego uścisku, cierpienia całego dnia wyczerpały jej siły; pocałunki ponowiły się, zmięszały się ich oddechy; a noc letnia lała dokoła wonie balsamiczne drzew i kwiatów, gdy tymczasem świerszcze nocne, owym skrzeczącym głosem zdawały się przyzywać serca ku sobie, wywoływały czułość i zniewalały do zapomnienia o całym świecie....

Nazajutrz, Maurycy jeszcze rozmarzony, w przyjemnym półśnie, słuchał dźwięku dzwonów w Villote; i przypominał sobie ów wieczór tak słodki, tak rozkoszny. Wspomnienie było tak upajające że nieśmiał poruszyć się.

Nagle jednak przywołał go do rzeczywistości odgłos stąpań pana Destineuls, który chodził na piętrze po swoim pokoju tam i napowrót.

— Biedny kuzyn — myślał Maurycy — wczoraj go zmartwiłem, muszę go prosić o przebaczenie.

Wstał, ubrał się i zbliżywszy się do drzwi, zlekka zapukał.

— Proszę wejść — rzekł Bernard głosem surowym.

— Panie Bernardzie — odezwał się młodzieniec— wczoraj wypowiedziałem takie wyrazy, że ich dziś mocno żałuję; przyszedłem je odwołać i prosić o przebaczenie.

Twarz pana Bernarda rozjaśniła się, a wziąwszy za rękę swego wychowańca, rzekł:

— Mój przyjacielu, łatwo wszystko zapominam. Otrzymałem dziś rano list od pana Blancpain pełen wyrzutów, zwraca nam słowo, ale jednak wszystko jeszcze naprawić można....

Maurycy przygryzł usta.

— Mój dobry panie Bernardzie—odpowiedział — racz pan przyjąć moje usprawiedliwienie i zarazem oświadczenie, że nie mam najmniejszej chęci do żenienia się.

— Zastanów się i bądź rozsądnym. Co masz do zarzucenia mojemu projektowi? Alboż Żorżeta nie jest piękna, przyjemna a do tego czyliż nie będzie bogata? Jest to partya doskonała. Pomyśl o tem, że twoja odmowa nadzwyczaj oburzyła rodzinę Blancpain; żeś obraził śmiertelnie tę dziewczynę, która, być może już cię kocha, a wszystko z przyczyn jakichś zagadkowych, z prostej fantazyi.

— Nad wszystkiem doskonale zastanowiłem, się i przekonałem, że małżeństwo to jest niemożliwe....

— Ależ nareszcie podaj mi jaką przyczynę — zawołał Bernard z gniewem.

— A więc powiem panu; że serce moje już nie jest wolne, już wybrałem przedmiot mojej miłości.

Pan Destineuls opuścił głowę ze smutkiem.

— Nie mogęż wiedzieć, kto to taki, kto zrujnował cały gmach wymarzonego przezemnie szczęścia?

— Tajemnica ta do mnie nie należy, muszę więc milczeć.

— O Maurycy! Maurycy! — zawołał nagle Bernard — znam tę tajemnicę a przynajmniej domyślam się i ubolewam nad tobą. Daj Boże, abyś sam później nie płakał nad swem zaślepieniem krwawemi łzami. Upojenie jest krótkie a rozczarowanie zbyt długie. Błagam cię moje dziecko, bądź silnym, bądź męczyzną.... Wyrwij z twego serca tę zbrodniczą miłość.

— Już za późno — odparł zniecierpliwiony Maurycy.

Nastało milczenie. Pan Destineuls wydał bolesne westchnienie.

— A więc — rzekł nareszcie powstając — przynajmniej nie będę twoim wspólnikiem; ponieważ nie chcesz zrzec się tej miłości, opuszczę dom ten i nie wrócę tu więcej.

— Pan tego nie uczynisz.

— Uczynię, nawet dzisiejszego wieczoru, choćby mi miało pęknąć serce. Pozostaw mię samego, bo nie mam już nic więcej do powiedzenia.

Starzec groźnym gestem z błyszczącemi oczami wskazał młodzieńcowi drzwi. Maurycy wyszedł mocno zmięszany.

W ciągu dnia pan Destineuls wynajął mały lokalik w innej stronie miasta i wieczorem wszedłszy do mieszkania, zabrał swoje rzeczy, wobec służącej mocno strapionej.

— Jestże więc prawda, że pan nas opuszczasz?— zapytała.

— Niestety! Tak potrzeba moja Genowefo. Czynię to dla zdrowia — dodał, chcąc upozorować istotną przyczyną... — Ten pokój jest wilgotny i za obszerny. Wreszcie, kiedy się człowiek starzeje, pragnie być sam i kocha swój kącik.

Przy tych słowach wrzucił do kuferka trochę bielizny i kilka książek do nabożeństwa; potem włożył na siebie algerkę....

— Patrz, Genowefo, w tem przyjechałem do Villot przed dziesięciu laty. Od tego czasu nic się prawie nie zmieniło. No, bywaj zdrowa, a na pamiątkę przyjm te kilka sztuk na zakupienie jakiej sukienki. Jest to wprawdzie nie wiele, ale nie stać mię na więcej.

Stara sługa zaczęła płakać.

Pan Bernard, już stojąc na progu, zwrócił się jeszcze.

— Zapomniałem portretu — rzekł — zabiorę go, był on świadkiem całego mojego życia.

W kurytarzu spotkał się z Maurycym.

Młodzieniec miał oblicze strapione.

— Pan nie oddalisz się ztąd — zawołał głosem zdławionym — zaklinam cię na pamięć mego ojca.

— Czy zaślubisz Żorżetę! — odpowiedział starzec głosem zniżonym.

Maurycy milcząc poruszył głową z przeczeniem...

— A zatem bywaj zdrów — zawołał starzec i wybiegł na ulicę.

VII.

Zdrowie pani Soumiers, oddawna już mocno osłabione, skutkiem pobytu w Montmedy bardziej się jeszcze pogorszyło. Od owej chwili nie opuszczała ona łożka i nikła w oczach z każdym dniem. Jednego wieczoru posłano po pana Bernarda, gdyż jego przyjaciółka dostała ataku paraliżu. Kiedy przybiegł znalazł ją w stanie okropnym, leżała bez ruchu, bez życia. Pan Destineuls przepędził całą noc przy łóżku wdowy, pielęgnując ją jak własne dziecko. Nad ranem, nieszczęśliwa chora, usiłowała coś mówić, podnieść się, ale wnet opadła na łoże, w oczach pokazały się łzy. W kilka godzin później wyzionęła ducha.

Bernard spojrzał dziwnym jakimś wzrokiem na trupa i na klęczącą przy łożu wraz z nim Antoninę; schylił się i ustami dotknął łzy zastygłej na policzku zmarłej, potem pokropił ciało święconą wodą, zamknął jej oczy i ukląkł obok łkającej głośno córki.

Pogrzeb miał miejsce nazajutrz. Nie wiele osób towarzyszyło trumnie, ponieważ wdowa żyła samotnie: kilka dam w wieku podeszłym, kilku sąsiadów, oto cały kondukt pogrzebowy. Bernard i Antonina sami pozostali na cmentarzu.

Za powrotem młoda kobieta wsparta na ramieniu Destineuls, doszła do domu nie otwierając wcale ust. Dopiero kiedy znalazła się w pokoju, boleść jej wybuchła w okrzyku:

— Moja matko! Moja biedna matko — mówiła zalewając się łzami.

— O tak! — dodał Bernard — wszystko skończone. Obecnie przynajmniej przebywa w spokoju, zdala od trosk ziemskich... Śmierć jest straszliwą, ale jest jeszcze coś innego, straszniejszego, Antonino a tem jest życia troski, przepełnione wyrzutami sumienia.

Antonina podniosła głowę i spojrzała na starca wylękłem okiem.

— Śmierć chrześcijańska jest niczem, ale pomyśl tylko Antonino czem jest życie, gdy ono stawia nam ciągle przed oczy nasze błędy, gdy nas ściga wyrzutami sumienia.

— Błędy? — powtórzyła Antonina starając się ukryć zmięszanie.

— Tak — powtórzył starzec — błędy. Dajmy na to: miłość wzbroniona, związek nieprawy...

Antonina ukrywszy twarz w rękach płakała w milczeniu.

Bernard pozostawił ją w tym stanie; nie chciał posuwać się zbyt daleko, przeprowadzać rachunku sumienia, lecz w kilka dni później, odważył się na coś podobnego i rozpoczął w ten sposób rozmowę:

— Antonino, pozwól mi mówić otwarcie.... Domyślasz się zapewne, co miałem na myśli, wspominając o zabronionej miłości. O tak moje dziecko, wiem wszystko i wszystko rozumiem. W twoim wieku, miłość nie jest nadzwyczajnem uczuciem; kobiety jak ty żyją dla miłości jedynie. Znajdując się na świecie samą, potrzeba koniecznie przyjaciela, przyjaźni i często

dość jednego podszeptu, aby miłość wybuchła z całym ogniem młodości. Bywają jednak pozycye, w których miłość jest niemożliwą i należy koniecznie nakazać milczenie swemu sercu. Antonino, wiem o tem, że kochasz Maurycego.

— A więc tak, przyznaję się, kocham go. Moja matka, on i pan, oto wszystko co mi pozostało na tej ziemi.

Pan Destineuls westchnął boleśnie mówiąc:

— Jednakże musisz się zrzec widzenia z nim kiedykolwiek, moja droga córko; potrzeba się zrzec tego uczucia, zanim związek ten stanie się karygodnym, gdy rzeczy zajdą tak daleko, że już nie będzie środka wynagrodzenia złego.

Na te słowa, młoda kobieta, podobnie jak Maurycy wykrzyknęła:

— Już za późno!

— Tem bardziej — rzekł Bernard groźnym tonem. Potrzeba zerwać stosunek, który potępia i religia i prawo.

— Zerwać! Niepodobna, to niepodobieństwo — wyszeptała młoda kobieta — to czego pan wymagasz jest niemożliwem. Tak jest, Maurycy mnie kocha i ja kocham go również. Walczyłam z mojem sercem, ale uczucie przemogło. Dla czego chcesz mię pan skazać na osamotnienie wówczas, gdy przedemną cała przyszłość jeszcze, gdy młodość domaga się swych praw? Ponieważ jestem małżonką leśnego niedźwiedzia, mamże więc cierpieć całe życie, wiecznie? Tem gorzej dla świata, niech myśli i niech mówi co chce. Przeniosę

cierpliwie następstwa mego błędu, jeżeli jest to istotnie moim błędem... Zryzykowana jestem na wszystko.

— Nawet na hańbę? — rzekł Bernard.

— Na wszystko! — zawołała z wybuchem namiętnym, cóż mię ona obchodzi, gdy kocham go całą moją duszą.

Wypowiedziawszy te wyrazy w namiętnem uniesieniu, wybuchła głośnym płaczem. Destineuls patrzył na nią zrozpaczony.

— Otóż to przeklęty język prawdziwej namiętności! To musi nastąpić, musi się stać.... Potrzeba pokuty. Namiętność jest rozpalonem żelazem, znaczącem wszystko haniebnem piętnem, wszystko, nawet to co jest najdroższe w życiu.... Żegnam panią. Żegnam cię nieszczęśliwe dziecko.

Uciekł z sercem rozdartem, skrwawionem.

Tej samej nocy, Maurycy niecierpliwy pragnąc pocieszyć Antoninę, przeskoczył przez płot i dostał się do ogrodu. Dotarł aż do samych okien i zlekka zapukał w szybę. Młoda kobieta otworzyła mu a podając rękę z drżeniem febrycznem, odezwała się:

— Maurycy, kochaj mię, bo byłabym zgubiona, nie mam nikogo prócz ciebie na ziemi.

Przeczucia nieomyliły Antoninę, rzeczywiście straszliwa burza zahuczała nad głowami dwojga zakochanych.

Zerwanie stosunków z rodziną Blancpain, nagłe usunięcie się pana Destineuls, dały powód do tajemniczych pogadanek w całem mieście. Każdy czynił dziwne domysły i w właściwy sposób tłumaczył wszystko.

Pani Blancpain, obdarzona żądłem żmii dopomagała do ogólnych plotek i potwarzy; głęboko obrażona jej miłość własna jako matki i kobiety, zapaliła ją zemstą, starała się więc obluzgać błotem, całe życie Maurycego. Nie wstydziła się publicznie mówić o nim w sposób jaknajhaniebniejszy. Dowiedziawszy się o jego stosunku z Antoniną, cały ciężar zwaliła na jej głowę, utrzymując, że nie można dziwić się lekkomyślności człowieka, którego oczarowała nikczemna syrena.

— Kobiety tego rodzaju, — krzyczała roznamiętniona pani Blancpain—nie przebaczają nikomu, straciwszy wstyd haniebnem piętnem, pragną naznaczyć wszystko co uczciwe. Gdyby tak na mnie, siekłabym je publicznie rózgami!

Wszakże, małżonka sędziego szkalując i obryzgując błotem wszystko, nie przytaczała żadnych przyczyn takiego postępowania. Ciekawi zatem poczęli badać i podglądać prywatne życie Maurycego i ścigać go swemi podejrzeniami na każdym kroku.

Nie podobna sobie wyobrazić zmyślności i podejść, jakich używa prosty, ciemny gmin, gdy zapragnie dociec jakiej nieznanej dla niego tajemnicy. To też niektórzy z mieszkańców wieczorami zaczajali się w ogrodach sąsiadujących z domem, gdzie mieszkała Antonina; niektórzy przez lunety czynili bardzo skrupulatne spostrzeżenia co się działo wewnątrz; zbierano starannie najmniejsze szczegóły i drobnostki mogące doprowadzić do wyjaśnienia faktu; gdy spostrzeżono zapuszczone przypadkowo rolety, wszyscy byli przekonania, że kochankowie znajdują się razem; gdy Antonina, jak

zwykle udawała się do kościoła na mszę, ścigali ją nieznacznie, ostrożnie, chcąc pochwycić na schadzce. Nakoniec jednego wieczoru, dwóch najciekawszych, ujrzało Maurycego jak przeskakiwał przez parkan, postanowili więc pozostać na posterunku przez noc całą i rzeczywiście przekonali się, że nierozsądny młodzieniec opuścił dom Antoniny o godzinie trzeciej nad ranem.

Tego było dosyć; pani Blancpain miała zatem słuszność.

Środkiem a raczej punktem obserwacyjnym był dom pewnego rzemieślnika stojący na krzyżownicy dwóch ulic. Tu, każdego ranka, przed południem zbierali się ciekawi, celem otrzymywania wiadomości, które następnie raportowano kobietom, złośliwym jak żmije. Ten to dom, dla pana Destineuls stał się prawdziwym przybytkiem piekła, lękał się go jak ognia. Jednego razu powracając z kościoła, usłyszał na własne uszy bardzo głośną rozmowę:

— Patrzcie — mówił ktoś, oto stary Destineuls w swej poplamionej żakiecie, jaką on ma minę spokojną. Dałbym gardło, że nie wie nic o figielkach pupilki.

— Czy chcecie żebym się go o to zapytał? — dodał rzemieślnik.

— Daj pokój, mogła by cię spotkać nieprzyjemność.

— Alboż ja się go lękam?

I popierając słowa czynem, z hypokryzyjnym na ustach uśmiechem, zbliżając się do Bernarda, rzekł:

— Dzień dobry panie Destineuls, cóż tam nowego? Rzadko pana widać w tej okolicy... Nie podobnym pan jesteś do swojej pupilki, która wcale nie oddala się ze swego mieszkania. Spotkałem ją jednak dzisiaj.... Załóżmy się, że w tem coś jest... Cóż pan się nie odzywasz; udajesz chyba, że nie wiesz o niczem... Racz pan pozdrowić młodą damę i pana Maurycego. Chłopiec posiada nie lada gust. Racz pan jednak przestrzedz go, że skoro ma zamiar przeskakiwać przez parkań, niech to czyni ostroźniej, bo go wszyscy widzą.

Wypowiedziawszy brutalny frazes, rzemieślnik głośno śmiejąc się, powrócił do swoich a biedny Destineuls czerwony jak piwonia ze wstydu, pobiegł dalej szybko, o ile mu starczyło nóg.

VIII.

— O tak — szeptał do siebie, postępując po drodze prowadzącej z Villot do Bussy, potrzeba ją ratować czy chce lub nie. Pójdę do pana Parisot'a. Cokolwiek o nim mówią, nie jest znowu taki złośliwy. Jeżeli zechce napowrót zabrać do siebie żonę, wszystko jeszcze da się uratować. Antonina w takim razie nie może się opierać, jeżeli nie chce narazić się na publiczny skandal. To ostatni środek zbawienia. Dalej tedy, śmiało! Jedyny sposób zażegnania nieszczęścia. Boże

mój, uczyń mię wymownym, abym mógł skłonić jej małżonka.

Tak rozmawiając, szedł szybko po błotnistej drodze.

Był to koniec miesiąca Października, pora winobrania.

Niebo zaciągały chmury ołowianej barwy. Gęsta mgła unosiła się nad polami, przepędzana zlekka zachodnim wiatrem. Czasami liście spadające z drzew, osypywały go, to znowu chmary piasku ćmiły mu oczy, ale Destineuls zagłębiony w myślach nie zdawał się zwracać na to uwagi. Im więcej zbliżał się do Bussy, tem bardziej tracił nadzieję pomyślnego załatwienia interesu, mimo to z gorączkową niecierpliwością przyspieszał kroku. Niezadługo dostał się na małe wzgórze: oto przed jego wzrokiem rozesłał się cały obszar w głębi którego widać było niewielki folwark.

Serce uderzało mu gwałtownie kiedy wszedł w podwórze, na którem widać było kupy gnoju tu i owdzie porozrzucane narzędzia rolnicze. Obejrzał się dokoła, czy niema kogo, coby zawiadomił pana Parisota o jego wizycie, ale podwórze było próżne.

Niezadługo przecież odezwały się szczekania psów i wkrótce też nadbiegła wysoka, tęgo zbudowana kobieta, z twarzą rumianą i okiem przenikliwem.

— Medor do nogi!—krzyknęła donośnym głosem.

Następnie zwracając się do Bernarda zapytała:

— Co pan sobie życzysz?

Po tonie więcej niż pańskim, po pewnem zaniedbaniu w odzieży, Bernard poznał w tej pani, sługę, obdarowaną faworami właściciela folwarku.

— Czy mógłbym widzieć się z panem Parisot? — rzekł z kolei Bernard, z pewnem zakłopotaniem.

Sługa odpowiedziała, że pan jest w winnicy, gdzie dogląda robotników.

— Lecz — dodała — jeżeli tu chodzi o kupno wina, możesz pan ze mną go załatwić, bo to wszystko jedno.

Bernard poruszył głową z zaprzeczeniem.

— Aha! — rzekła głosem urwanym.... — Więc udaj się pan tą ścieżką na prawo wychodząc z folwarku i skoro znajdziesz się na rozdrożu, ujrzysz naszych ludzi — Parisot tam się także znajduje.

Nie ukłoniwszy się weszła do domu, pozostawiając Bernarda samego a który wreszcie udawszy się drogą wedle wskazania sługi, dotarł do winnicy.

Parisot ujrzawszy Bernarda, wydał okrzyk zdziwienia.

— Dzień dobry — zawołał tenże. — Jakież tu licho przyprowadza pana?

Parisot miał już około lat pięćdziesięciu. Był niski i zaczął już tyć powoli. Miał szyję w ramionach, oblicze opalone i oko żywe, intelligentne; czoło niskie, włosy czarne jeszcze i bardzo gęste, w brodzie tylko gdzie niegdzie przeświecała siwizna.

Bernard przypatrywał się mu bardzo uważnie a szczególniej jego oczom zalanym krwią, twarzy mocno czerwonej i uszom.

— Gdyby umarł niespodzianie na atak apoplektyczny — mówił do siebie — wszystko byłoby uratowane.

— Czy to do mnie przypadkiem nie przywiodła pana jaka potrzeba! — zapytał zbliżając się.

Bernard potwierdził ruchem głowy.

— O! — rzekł wieśniak. — Założyłbym się, że zgadnę co pana tu sprowadza. Przychodzisz żądać pieniędzy dla swej protegowanej. Wybrałeś się pan nie w porę, bo nie mam wcale humoru do miłosiernych uczynków. Winobranie nie tęgie i w tym roku zamiast wina, musimy pić wodę, co nie jest wesołe.

— O mylisz się pan, wcale nie przychodzę po pieniądze — odpar Bernard. — Pani de Soumiers umarła.

— Ba! czas bo też był już dla niej. Pana, jako jej kawalera, musiało zaboleć trochę serce.

— Pani Soumiers umarła i jej córka pozostała sama na świecie.... bez przyjaciół.... Bez opieki i pociechy.

— Bez przyjaciół? tak pan sądzisz! Bez opieki i pociechy? Co to też pan wygadujesz. Alboż nie ma pana.

— Błagam pana — rzekł starzec — zaprzestań pan tych żartów. Tu chodzi o rzeczy bardzo poważne. Antonina osamotniona a jest młodą i słabą. Dla kobiety samotnej, świat jest bardzo niebezpiecznym; potrzebuje ona silniejszego niż ja protektora. Właśnie w tym razie pomyślałam o panu, jesteś przecie jej mężem i przychodzę po to, aby was pogodzić. Ona żałuje swego postępku. Dopomóż jej wyjść z fałszywej pozycyi i przyjm ją łaskawie napowrót do swego domu.

— Ta! ta! ta! Bajeczki dla starych dzieci. Zna-

my się doskonale na takich figlach. Niech sobie sama dopomaga, ja o niczem nie chcę wiedzieć.

— Pomyśl pan jednak o następstwach, kobieta jest zawsze słaba i jeżeli upadnie, sądzę, że hańbą okryje pańskie nazwisko.

— E mój panie — rzekł Parisot — i na to znajdziemy sposoby. Teraz jestem zajęty, ale skoro skończę winobranie, zajrzę osobiście do Villot i jeżeli przekonam się o prawdzie słów pańskich, postaram się sądownie zabezpieczyć i moje imię, i mój honor i moje pieniądze. To ostatnie słowo.

— Więc nie posiadasz w swem sercu iskry litości — mówił Bernard głosem płaczliwym.

— Mój kochany, nie roztkliwiajmy się daremnie. Masz tobie, oto i łzy płyną z nieba; deszcz pada. Tam do licha. Nic z naszej roboty. Mówiłem, że miasto wina będziemy pili wodę. No stary, nie gniewajmy się. Nie puszczę cię w deszcz. Chodź ze mną, zjesz co się znajdzie i zakosztujesz mojego wina.

— Dziękuję i żegnam pana — odpowiedział Bernard. Jeżeli nieszczęście wydarzy się tej biednej kobiecie, pańską to będzie winą.

Odszedł szybko.

Kiedy jednak znalazł się na drodze, uczuł jak się pod nim uginają nogi.

— Nie mam siły iść dalej! — zawołał padając na kupę kamieni i ukrywając twarz w dłoniach.

Po chwili odpoczynku, mówił sam do siebie:

— A więc nie ma żadnej nadziei. Dla czegóż mówiłem temu człowiekowi o honorze! Przeciwnie nale-

żało mu grozić procesem; oświadczyć iż seperacya zostanie wyrzeczona, że sądownie skażą go na płacenie dozgonnych alimentów. Zląkłby się o swoją kiesę i ustąpił. Dlaczegóż mi to nie przyszło pierwej na myśl. Doprawdy straciłem zupełnie głowę. Mój Boże, jakież to okropne życie!

Pozostał bez ruchu na deszczu i chłodzie. Odgłos dzwonów w Neuville przypomniał mu chwilę, jak prawie o tej samej porze szedł z Maurycym do Blancpain pełen najlepszych przeczuć, swobodny, szczęśliwy. Dziś wszystko przepadło. Czuł że drży, że krople deszczu spadają mu na czoło jak krople rozpalonego, roztopionego ołowiu, że jest bliskim omdlenia.

— Nie! — zawołał zrywając się nagle. — Ja tu nie mogę umrzeć. Nie czas jeszcze umierać! Zbliża się godzina, w której ten wiejski niedźwiedź srogo odpokutuje za brak serca. Co do mnie potrzebuję być silnym, abym ją mógł podźwignąć z upadku.

IX.

Partykularz nie przebacza nigdy pewnych błędów. Ściga on nieubłaganie, prześladuje, ujawnia mniemany występek i karze, to samo miało miejsce w Villot, w tem Villot którego mieszkańcy odznaczali się łagodnością i pewnym rodzajem ospałości.

Skoro zażyłość między Maurycym a Antoniną, przestała być dla miasta tajemnicą, w wielu domach, gdzie poprzednio bywała, znalazła drzwi zamknięte. Na ulicy zaś przy spotkaniu spoglądano nań ze wstrętem, można powiedzieć z pogardą. W kościele obok niej zawsze tworzyła się próżnia, doszło do tego stopnia, że niepodobna jej było pokazywać się na mieście.

Maurycy przeciwnie był ofiarą ataków, milcząca ta opozycya i prześladowanie wystawiało na próbę jego prawy charakter i powodowało wybuchy gwałtownego oburzenia, jako człowieka nczciwie myślącego. W towarzystwach, gdzie bywał śmiało krytykowano Antoninę. Mówiono o niej jako o kobiecie lekkich obyczajów, która już po razy kilka zawiązywała intrygi i miała kochanków. Spodziewano się tym sposobem wywołać jakieś nierozsądne wystąpienie młodzieńca; lecz ten doskonale pojmował, że obrona przyjaciółki, byłaby przyznaniem się do stosunku. Dopiero w domu, w obec Antoniny wypowiedział to co myślał, potępiając, przeklinając złośliwe języki. Nie wiedział jednak, że to jeszcze bardziej rani dumę młodej kobiety.

Antonina, jakkolwiek straszliwie cierpiała, starała się uśmiechać. Ażeby uspokoić Maurycego, przytakiwali mu i razem z nim rzucała klątwę na miejskie obmowy i plotki.

— W dniu, w którym wyrzekłam słowa miłości, już byłam przygotowana na wszystko i w tem też czasie zgromadziłam wszystkie siły dla odparcia zaczepek i ataków. Nie obchodzą mię złośliwe przygryzki kumoszek, ponieważ wierzę w twoją miłość i ona mi jest

osłodą i pociechą; pociski jakie otrzymuję nikną pod siłą uroku twoich pieszczot.

Pozorna ta obojętność doprowadzała do wściekłości jej nieprzyjaciół. Wkrótce posypały się jak grad anonimy. Grożono w nich że o wszystkiem doniosą panu Parisot; dalej, że jest strzeżona na każdym kroku, że nic nie może ukryć się przed okiem czujnych dozorców, nareszcie zawiadamiano że Maurycy ją zwodzi, bo ma na boku miłośnicę.

Po listach tego rodzaju, nastąpiły bilety bardziej jeszcze obrażające; czterech młodych ludzi, z któremi znał się Maurycy, postanowiło z kolei korzystać ze sposobności oświadczenia miłości swej Antoninie, czyniąc jej rozmaite a ubliżające propozycye.

Młoda kobieta połknęła i tę obrazę, rzucając w ogień słodkie liściki o których nie wspominała nawet Maurycemu.

Cicha, nieubłagana walka doszła aż do uszów pana Destineuls, który się tem niesłychanie przeraził. Nie mogąc powstrzymać Antoniny na tej drodze prowadzącej do zguby, postanowił czuwać nad nią; dla tego nieustanie krążył około domu, bez względu na porę, bez względu na deszcz, chłód i mróz. Maurycy nawet kilka razy idąc do Antoniny widział zdaleka przechadzającego się po śniegu starca.

Młodzieniec pobiegł ku niemu pragnąć uzyskać przebaczenie, ale Destineuls na widok wychowańca szybko się oddalił.

Jednego wieczoru, Maurycy wchodząc do pokoju, zastał Antoninę zalewającą się łzami.

— Czytaj, czytaj — rzekła podając mu list, czytaj czem mi teraz grożą.

Był to znowu anonim; w liście pisano, że jeżeli nadal będzie przyjmować swego wielbiciela, mieszkańcy przedmieścia wyprawią jej przed oknami kocią muzykę.

— Podli! — zawołał Maurycy gniotąc list w rękach — o czemuż nie mogę pochwycić z nich jednego za gardło i wymierzyć mu karę za wszystkich. Kocia muzyka! Nie, na to się nigdy nie odważą. O moja najdroższa, dodał, klękając przed nią i odejmując ręce, któremi zakrywała twarz, to ja jestem przyczyną. Czemuż ci intryganci, nie ujawnią swoich nazwisk, swoich osób, abym mógł załagodzić, usunąć wszystkie te haniebne podstępy i prześladowania. Wieleż łez wylałaś już z mojego powodu.

— Kochaj mię jak zawsze — odpowiedziała Antonina i niech cię nie trwożą moje łzy... To nerwowe! Czytując ten okropny list, doświadczałam prawdziwie dziecinnej obawy, skoro jednak przyszedłeś, wszystko minęło. Patrz, ja się już śmieję. Złośliwi ludzie, dla czegóż nie pozwalają nam kochać się. O pragnę uciec z tobą gdzieś daleko, do jakiego nieznanego kraju tam, zupełnie zapomniani, żylibyśmy szczęśliwie. Jaka szkoda, że projekt ten jest niepodobnym do wykonania.

— Ależ przeciwnie — zawołał Maurycy — projekt nasz może być wykonanym.... Nic nas nie zatrzymuje w tem wstrętnem mieście. Dla czegóż nie mielibyśmy go opuścić z nadchodzącą wiosną? Jeżeli chcesz, pojedziemy do Bretanii; znam małą wioseczkę ukrytą

w głębi lasów, których drzewa gałęźmi dotykają powierzchni morza. Najmiemy domek u wieśniaka, kącik pełen kwiatów i spędzimy tam przyjemnie miesiące i lata....

Antonina z uśmiechem wysłuchała tej propozycyi. Rozmowa zawiązała się żywa, marzono wesoło o rozmaitych zamiarach istniejących zaledwie w bujnej wyobraźni. Cały wieczór upłynął na budowaniu zamków na lodzie....

W dwa dni później, pewnego wieczoru kiedy Maurycy zbliżył się do parkanu, znalazł na swej drodze pana Destineuls.

— Pan Bernard! — zawołał osłupiały.

— Odejdź — rzekł starzec głosem nakazującym.

— Cóż to znaczy? — zapytał młodzieniec nie mając zamiaru spełnić rozkazu. — Czyliżby Antonina?

— To do ciebie nie należy — wyrzekł starzec stanowczym głosem.

— Nie odejdę, dopóki się pan nie wytłumaczysz. Co to ma znaczyć. Jeżeli jest w niebezpieczeństwie, do mnie, nie do pana należy jej obrona.

— Nędzny waryacie! Wcale cię nie potrzebuje. Jej tu nie ma. Odejdź!

Odepchnął Maurycego, który niezmiernie się przeraził wyrazem twarzy Bernarda. Tymczasem Destineuls szybko otworzył drzwi, wszedł i zamknął je za sobą.

Antonina usłyszawszy kroki, zawołała:

— Chodź prędko Maurycy.

Później jednak dotknąwszy chłodnej ręki Bernarda, zawołała:

— A! — i uciekła do obocznego pokoju.

— Nie trwóż się — rzekł Bernard — to ja jestem! Spojrzała nań okiem wystraszonem.

— To, czego się obamiałem, nastąpiło. Czy wiesz co postanowiono względem was? kocią muzykę, skoro tylko pokażesz się w oknie. Na przedmieściu słyszałem jak wymieniono twoje imię. Jeżeli chcesz uniknąć nieprzyjemnej sceny trzeba uciekać. Chodź!

Podczas tej rozmowy, przy domu poczęli gromadzić się jacyś ludzie, i nagle odezwała się piekielna muzyka.

— Zapóźno! — wykrzyknął Bernard.

Tymczasem dały się słyszeć skrzypce, dzwonki, brzęk rondli uderzanych młotkiem, pisk klarynetu i ryk myśliwskiego rogu, do czego dołączały się krzyki i gwizdania przeraźliwe wielu osób.

Okna w sąsiednich domach nagle rozwarły się, ludzie, zbudzeni z pierwszego snu, pytali się głośno co to znaczy, na co odpowiedziano śmiechem i wrzaskiem szalonym.

— Boże! Boże! pozwól mi umrzeć w tej chwili! — zawołała szlochająca Antonina.

Bernard pobiegł co żywo w kurytarz, odepchnął służącę niezmiernie przerażoną i odryglował drzwi od ulicy.

Na trzask otwierających się drzwi z zasuwy, wrzask pospólstwa cokolwiek się uciszył.

— Patrzcie! Patrzcie! Kochanek! Zagrajmy mu jaką klassyczną sztukę — wrzasnęły tłumy.

Drzwi otworzyły się: Bernard z gołą głową, blady, straszliwy, tak mu twarz wykrzywiły boleść i oburzenie, stanął przed zdumioną gromadą, która na widok ten cofnęła się.

— Nędznicy! — zawołał — zapłaceni zostaniecie. Powiedźcie, wiele wam za to przyobiecano.

Na głos donośny starca, naprzód cofnęli się chłopcy, miejscowi próżniacy, potem kataryniarz usiłował się wycofać, nareszcie i drobny, chłodny deszczyk upamiętał starych, tak że jednozgodnie postanowili odejść. Na pożegnanie jednak zawołali:

— Obiecano nam sto su!

Starzec rzucił im pieniądze. W tej chwili usłyszano zbliżające się kroki.

— Policya! Policya! — zawołali rozpraszając się w rozmaite strony.

Był to jednak Maurycy, który usłyszawszy szalony koncert, biegł z powstrzymanym w piersiach oddechem, gotów rzucić się na tych ludzi, wynajętych przez skrytego nieprzyjaciela.

Bernard ujrzawszy wychowańca postanowił jakimkolwiek bądź sposobem oddalić go, w przeciwnym bowiem razie wszystko byłoby stracone.

— Pan mnie zwiodłeś! — zawołał Maurycy. — Antonina jest tutaj!

Starzec zebrał całę odwagę na jaką go stało jeszcze.

— Powtarzam, że jej nie ma, bo odjechała.

— Odjechała? — rzekł młodzieniec drżącym głosem. — Dokąd ją uprowadziłeś! Chcę wiedzieć o tem.

— Do męża! — odpowiedział chłodno Destineuls. Poczem niezwracając na zgnębienie młodzieńca, wszedł do domu, zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

X.

Pan Destineuls starannie zaryglowawszy drzwi, powrócił do Antoniny. Znalazł ją jakby obłąkaną, siedziała przy łóżku i drżała jak w febrze. Podniósłszy ją bardzo ostrożnie, uściskał serdecznie.

— Odwagi moje dziecko — szepnął: — powróć do przytomności, już ich nie ma.

Spojrzała na niego załamując ręce.

— Straciłam zupełnie głowę. Radź mi. Nie wiem, co czynić! Co się ze mną stanie!

— Potrzeba wyjeżdżać natychmiast! — mówił Bernard głosem stanowczym — dzień jutrzejszy nie powinien cię tu zastać.

— O tak! tak! Jedźmy — odpowiedziała drżąc— opuścimy to obrzydliwe miasto.... Lecz — dodała głosem zniżonym jakby błagalnym —pozwól mi widzieć się z nim po raz ostatni.... pozwól mi go pożegnać.

— Nie — odpowiedział Bernard z energią; żadnych pożegnań. Wszystko i na zawsze jest skończo-

ne między wami. Pociąg z Paryża odchodzi o godzinie jedenastej: musimy za pół godziny być już na stacyi; zabierz prędko co ci koniecznie potrzeba. Resztę ja sam ci później wyślę. W Paryżu, staniesz w hotelu, oto adres i zaczekasz na mnie. Przyjadę w ciągu dwóch dni.... Ale żadnego pożegnania, powtarzam. Przysięgniesz mi na pamięć swej matki, że nie będziesz pisać do niego i nie uczynisz nic, coby go mogło uprzedzić o miejscu twego pobytu.

Pochyliła głowę w milczeniu. Była tak zgnębioną, że nie miała siły opierać się.

— Przysięgnij! — zawołał starzec.

Była mu posłuszną.

Destineuls dopomógł jej do upakowania rzeczy, później zarzucił na nią szal, wyprowadził z domu przez ogród i oboje udali się w kierunku kolei.

W czasie drogi nie przemówili do siebie ani jednego słowa. Antonina z pochyloną głową na piersi, drżała z zimna i trwogi. Deszcz nie ustawał padać. Bernard przyspieszonym krokiem prowadził ją pod rękę.

Rozległ się świst. Destineuls doprowadził Antoninę aż do wagonu.

— Dowidzenia — rzekł ściskając ją za rękę. Pamiętaj o twojej przysiędze.

Odezwał się dzwonek, pociąg ruszył zwolna i wkrótce znikł w kłębach dymu.

Bernard powolnym krokiem powrócił do mieszkania Antoniny.

Odzyskał prawdziwie młodzieńczą energię. Przez całą oniemal noc, przewracał w szafach, palił listy, po-

tem przylepił adres na wielkiej pace, zapełnionej rzeczami. Nad ranem już wszystko było ukończone. Następnie ugodził furmankę, przewiózł pakunki na stacyę i odjechał wieczornym pociągiem do Paryża.

Kiedy pociąg ruszył, Destineuls przypatrywał się Villot niknącemu zwolna w ciemnościach nocy.

— Wasza haniebna zawiść, wasze potwarze wyczerpały moją energią — mówił sam do siebie. — Boże, daj mi odwagę, abym dokonał szczęśliwie tego, co zamierzyłem.

W ciągu kilku tygodni mówiono jedynie o ostatnich wypadkach, kocia muzyka była w ustach wszystkich. Później zaczęto czynić domysły. Jedni utrzymywali, że Antonina uciekła się pod opiekę męża i przebywa w jego domu, drudzy, że odjechała do Paryża, do owego wielkiego miasta, w którym można swobodnie szydzić z ludzkiej opinii. Maurycy w pierwszej chwili był gotów targnąć się na własne życie, potem jednak uspokoił się. Pobyt w mieście był dla niego nieznośnym, niemożebnym, przytem pragnął bądź co bądź nastąpi, widzieć się z panną Soumiers.

Jeżeli, jak twierdził Bernard, młoda kobieta powróciła do domu męża, wszystko było stracone. Czy jednak mogła powrócić do folwarku Bussy? Kto zaręczy za to! Bernard mógł na chybił trafił, rzucić imię pana Parisot, aby tym sposobem pozbyć się jaknajprędzej Maurycego.

Młodzieniec czekał cały tydzień, po upływie jednak tego czasu, postanowił sprawdzić to i jednego dnia wybrał się piechotą do Bussy.

Przybywszy do oberży wspomnionej wsi, zatrzymał się pod pozorem zjedzenia śniadania a tymczasem ostrożnie badał oberżystę. Po zwykłej pogadance o urodzajach i o padających nieustannie deszczach, nagle zapytał:

— Cóż tam w Bussy słychać nowego?

— Nic — odparł właściciel austeryi — nic, oprócz wypadku, jaki miał miejsce przed kilku dniami.

Maurycy czuł jak mu krew uderza do głowy.

— A tak — dodał pochylając głowę — zapewne młoda pani powróciła.

— Nie wiem tego czy wróciła lub nie — odparł oberżysta — ale to wiem, że pan Parisot już nie powróci więcej. Pochowano go wczoraj.

— Umarł! — zawołał Maurycy.

— Na apopleksyę. Dobrze sobie podjadłszy i podpiwszy, wszczął kłótnię z jednym robotnikiem. Przyszło do wymiany bardzo nieprzyzwoitych wyrazów, poczem tenże podniósł rękę na pana. Parisot tak się tem rozgniewał, że padł na miejscu i skonał. Nie podnieśli go z ziemi, aż w dniu pogrzebu.

Maurycy nie dokończył śniadania: zapłacił co się należało i natychmiast udał się w drogę do Villot. Idąc szybko rozmawiał sam ze sobą.

— Umarł! Antonina wolna. Żadnych przeszkód! Doprawdy, zdaje mi się, że to sen! Powinienbym był sprawdzić na folwarku. Umarł! Umarł. A więc będzie moją!

Coraz silniejsze opanowywało go wzruszenie.

— Lecz gdzież się ona znajduje. Jestem pewny, że Bernard wyprowadził mię w pole. Gdzież jej odszukam? Zkąd zaczerpnę wiadomości o jej pobycie?

Uderzył się w czoło.

— Koniecznie potrzeba uprzedzić Bernarda o nastąpionym wypadku. Nie odmówi mi udzielenia adresu. Muszę go odszukać. Jakże jestem nierozsądny że nie pomyślałem o tem.

Przybywszy do miasta, natychmiast udał się do mieszkania pana Destineuls, gdzie mu powiedziano, że starzec odjechał nie wiadomo dokąd? Zrozpaczony pobiegł do domu Antoniny. Katarzyna objaśniła Maurycego, że jej pani odjechała uprowadzona przez Bernarda. Maurycy niedowierzając służącej, badał ją jak prawdziwy sędzia śledczy. Sługa o niczem nie wiedziała i w końcu oburzona nieustannemi pytaniami, odeszła do kuchni, pozostawiając młodzieńca w kurytarzu.

Maurycy wszedł do pokoju zajmowanego przez Antoninę. Znalazł go prawie w tym samym stanie, w jakim był podczas nagłej ucieczki młodej kobiety.

W saloniku niegdyś utrzymywanym z nadzwyczajną czystością, wszystko zdradzało pośpiech odjazdu. Szafy były pootwierane, meble ruszone z miejsca, na podłodze walały się szczątki podartego papieru, nawet firanki opadły. Słońce jasnemi promieniami oświecało tę ruinę.

Kontrast ten ścisnął za serce Maurycego.

Okiem zwilżonem przypatrywał się pokoikowi, który niegdyś był świadkiem jego szczęścia. Zwol-

na przechodząc z kolei od przedmiotu do przedmiotu, jakby witał pamiątki minionych dni, nagle spostrzegł na podłodze zapisany kawałek papieru.

Twarz jego zapłonęła radością.

Na skrawku papieru ręką Bernarda były wypisane te wyrazy:

„Pan Bernard Destineuls, w Lyonie — post restante."

Był to więc adres zapomniany przez jego opiekuna.

— W Lyonie! Ona jest w Lyonie! — krzyknął uradowany.

Wybiegł z pokoju i o mało nie przewrócił Katarzyny, która właśnie powracała z dziedzińca.

— Jezus Marya! — krzyknęła Katarzyna. Zwaryował! Na czysto zwaryował!

Maurycy tego samego dnia siadł na pociąg i wieczorem znalazł się w Lyonie.

XI.

Maurycy przybywszy do Lyonu był znużony i zdenerwowany wrażeniami poprzedniego dnia. Zaledwie znalazł się w hotelu, zjadł szybko podane śniadanie i rzucił się w ubraniu na łóżko. Spał jednak jaknajgorzej i zerwał się kiedy zaledwie pierwsze brzaski dnia pokazały się na niebie. Nie mogąc usiedzieć w ho-

telu, ubrał się i wyszedł nad brzeg Saony, która tuż płynęła pod domem. Jeszcze dzień nie rozjaśnił się należycie gdy rozpoczął poszukiwania; udał się przedewszystkiem ku przedmieściu Fourieres, zkąd mógł objąć okiem całe miasto.

— Ztąd przypatrzę się doskonale Lyonowi — rzekł sam do siebie i w ten sposób rozpoznam położenie i miejsce, aby nie tracić czasu nadaremnie.

Powoli wstępował na stromą uliczkę prowadzącą do kościoła. Kramarze już rozkładali swoje kramy z medalikami, krzyżami i obrazkami, zapraszając przechodzących. Na załomach drogi liczni żebracy mruczeli pacierze. Dzwony ogłaszały Anioł Pański i kiedy Maurycy dostał się na platformę obok kościoła gromadzić się zaczęli pontnicy i pielgrzymi.

Młodzieniec oparł się o baryerę zkąd rozściełał się widok na cały Lyon. W wężykowatych uliczkach, jakby w labiryncie dachów i domów wyskakiwały w górę wieże Ś-go Jana; po lewej stronie rzeki długim szeregiem ciągnęły się kamienice, a dalej, wprost głównego wejścia do kościoła jaśniał nowy Lyon białemi domkami, w trójkącie utworzonym z rzeki Saony i Renu, po za tem wszystkiem w mgle poranku szarzało przedmieście. Wieżyce wielu kościołków już jaśniały srebrzystem światłem w odblasku promieni wschodzącego słońca. Słychać było z oddali szmer, jaki zwykle towarzyszy poczynającemu się dniu w mieście, ludzie krzątali się tu i owdzie, ci otwierali sklepy, tamci gotowali wozy do odjazdu, inni gromadzili zapasy na rynku;

w ulicach już widać było pracowite mrówki, przezwane ludźmi.

Maurycy pod wrażeniem poczynającego się życia miasta, doznawał niepokoju i niewytłomaczonej radości.

— Ona tam mieszka — mówił do siebie, przebiegając okiem kolejno dachy domów i fabryk.

Wdychał z przyjemnością powietrze wiosenne, z lubością się wpatrywał w ciągnące się szeregiem ogrody przedmieściowe.

Kiedy człowiek ma obawę lub czegoś się spodziewa, łatwo staje się zabobonym, przesądnym. Na widok gromadzących się pielgrzymów, dziwne uczucie pobożności owładnęło jego sercem; wszedł do kościoła.

Tłum przepełniał nawę kościelną, przy pięciu ołtarzach księża odprawiali msze, paliły się ciemnawo gromnice, głosy pobożnych głucho odbijały się od sklepienia; dźwięk dzwonków łagodnie wpadał do ucha i wywoływał wrażenie skruchy i żalu, tęsknoty i potrzebę modlitwy, spowiedzi ducha Najwyższemu Panu.

Maurycy uczuł się skruszonym, przejętym, uczucie pobożności zapomniane od dzieciństwa zgięło jego kolano, ukląkł modląc się szczerze, serdecznie. Nagle drgnął, tuż oboko niego przesunął się starzec wychudły.... poznał w nim pana Destineuls.

Bernard zbliżył się do zakrystyi, kupił świecę i następnie ukląkłszy, modlił się z wielkiem podniesieniem ducha.

Kiedy następnie powstał i przechodził obok pilastru, Maurycy dotknął jego ramienia i zawołał po imie-

niu. Obrócił się a na twarzy starca odmalowało się bolesne zdumienie.

— Wyjdźmy! — szepnął — wyjdźmy!

Skoro znaleźli się po za kościołem, Maurycy zapytał:

— Antonina?

Destineuls spojrzał nań wzrokiem zrozpaczonym.

— Umiera — rzekł głosem głuchym, może być ocalona jedynie cudem i właśnie przyszedłem do kościoła, aby uprosić sobie tę łaskę u Najświętszej Matki.

Młodzieniec stał się tak bladym jak chusta; czuł, że boleść ścisnęła mu gardło.

Weszli do ogrodu i w milczeniu usiedli na ławce.

— Przybyła tutaj — mówił Bernard — zgnębiona i złamana, nieszczęściami i przykrościami, jakie przebyła. Pobyt w Lyonie, szczególniej na wiosnę, jest bardzo niebezpiecznym. Nie wątpiłem nigdy o tem. Chciałem ją uprowadzić daleko, aby zbawić ją i siebie. Zaledwie zamieszkaliśmy tutaj, gdy dostała febry: jest to gorączka mózgowa, jak twierdzi lekarz, zapalenie mózgu poprostu. Na to niema lekarstwa, czekamy kryzysu, albo wyzdrowieje albo umrze... — Umrze! — Nie, Najświętsza Panna nie dopuści tego nieszczęścia.

— Czy mogę ją widzieć?

— Tak, zobaczymy ją. Chodźmy.

Kiedy jednak młodzieniec nie poruszał się, zawołał.

— Jakto? więc ci brak siły wówczas, gdy idzie o jej zbawienie?

Pociągnął go gwałtownie za rękę. Maurycy machinalnie prawie dał się prowadzić starcowi. Kiedy już minęli katedrę rzekł:

— Pan Parisot umarł.

Pan Destineuls podniósł głowę.

— Powinien był wcześniej umrzeć — odpowiedział głosem, w którym drżała wściekłość dzikiej nienawiści.

Smutne koleje losu, jakim ulegał Bernard, uczyniły go okrutnym i w tym człowieku gwałtownym, nie podobna było poznać dawniejszego pana Destineuls: dobrego, łagodnego jak baranek.

Przebyli most na Saonie i zbliżyli się do kościoła Ś-go Dyonizego, do domu obok.

— Mieszkamy na trzeciem piętrze — rzekł starzec, zatrzymując się — pójdę zobaczyć czy drzemie jak zwykle.

Powrócił w kilka minut.

— Ciągle w jednym i tym samym stanie — wyrzekł — możesz wejść.... Nie wie zupełnie co się obok niej dzieje.

Skoro weszli siostra miłosierdzia siedząca przy chorej oddaliła się do drugiego pokoju.

Maurycy stanął zdumiony, nie mogąc pojąć co się stało z tem pięknem, uroczem niegdyś dzieckiem, jak to życie zwolna ustępowało przed naciskiem straszliwej choroby.

Antonina senna, siedziała skulona oparta o poduszki. Czoło jej pokrywał pot zimny, twarz jej zapadła zapalona była gorączką; włosy spadające w nieładzie

przylepiały się do skroni, w oczach błyszczał jakiś ogień dziwny. Była jeszcze piękną, lecz tą okropną pięknością, jaką wywołuje trawiąca gorączka, tą pięknością nocy, w której szaleją huragany i biją pioruny, przedzielane błyskawicami.

Młodzieniec usiadł w nogach łóżka, gdy tymczasem starzec odmienił kompres z lodu na głowie chorej.

— Lekarz — mówił starzec — nakazał, aby jakimkolwiek bądź sposobem można ją było zbudzić z tego przeklętego snu, z tego ospałego omdlenia. Dopomóż mi do położenia na nogach synapizmów.

Uniósł zlekka kołdrę i odkrył drobne nóżki Antoniny, popalone plastrami z gorczycy; widząc jednak, że Maurycy w nadmiarze boleści upuścił kompresy, wyrwał mu go z ręki.

— Do diabła — rzekł ofuknąwszy ty nic zrobić nie umiesz.

Położył je ostrożnie na ciele już poprzednio rozranionem kataplazmami.

— Te biedne nogi, wyglądają jak nogi istotnej męczenniczki — szepnął strapiony. — Te biedne, śliczne włosy—ostrzyżono je bez litości.

Następnie siadł naprzeciwko Maurycego i nastała głęboka cisza.

Siedzieli tak prawie cały dzień bez poruszenia.

Zbliżył się wieczór, młoda kobieta zdawała się ocucać z ospałości. Podniosła głowę i poruszyła ustami. Bernard nachylił się ku niej i nalał lekarstwa na łyżeczkę.

— Teraz — rzekł drżąc — zaczyna się dla mnie istotna tortura.

Antonina widocznie ożywiła się. Z ospałości przechodziła ona zawsze w pewien stan somnambulizmu, wywołanego maligną. Skoro ustawało życie na ulicy, dziwne wizye i obrazy przesuwały się przed jej wyobraźnią.

Jakoż nagle zerwała się i zwracając wzrok ku panu Destineuls, krzyknęła:

— Jesteś tutaj Bernardzie. Dziękuję. I ty także Maurycy. Dlaczego tu przyszedłeś, mój drogi. Oni ciebie widzieli; jestem zgubiona. Czy słyszysz ich krzyki, odgłosy trąb. Kocia muzyka! A te dzwony, zapowiadają one moją hańbę.... Jutro będę pośmiewiskiem całego miasta. O tak, masz słuszność. Odjeżdżajmy! Ale nie w tym kierunku. Dokąd mię prowadzisz nieszczęśliwy. Ta droga prowadzi do folwarku. Tam jest pan Parisot. Czy nie widzisz go na progu domu. Słyszysz szczekanie psów. On szczuje! Ratunku! Maurycy! Bernardzie. Rzucają się na mnie, rozrywają mię! Ratunku!

W tej chwili odepchnęła pana Destineuls i Maurycego; pomimo ich oporu chciała wyskoczyć z łóżka. Bernard ją prosił, przyzywając najsłodszemi imionami, ułagadzając pieszczotami. Nakoniec, w połowie nocy, kiedy jej nerwy zostały osłabione skutkiem nadmiernych wysileń, zapadła na nowo w stan niebezpiecznej ospałości.

— Oto — szepnął Bernard głosem wyczerpanym — oto tortury wszystkich nocy, spędzonych przy

łożu. Zawsze tego człowieka widzi w chwili gorączki... Boże sprawiedliwy, dlaczegoż nie odebrałeś mu wcześniej życia. Gdyby ten Parisot umarł przed rokiem lub gdyby nastąpił rozwód, uniknęlibyśmy obecnego nieszczęścia. O! ten, co wynalazł małżeństwo bez rozwodu, nie musiał mieć córek.

Maurycy doznawał jakiegoś dziwnego zawrotu. Trzymał on w swych rękach ręce Antoniny, i zdawało się, że to jedyny związek jaki go łączył z nią jeszcze na tej ziemi.

Nazajutrz, przyszedł lekarz, wybadał chorą, przepisał lekarstwo i oświadczył iż gorączka się zmniejszyła. Przy wyjściu Maurycy mu towarzyszył.

— Ponieważ gorączka się zmniejszyła — zapytał — więc jest uratowana.

Lekarz wzruszył ramionami.

— Gorączka się zmniejszyła, ponieważ nie znajduje dostatecznego materyału w ciele wyczerpanem. Dla uratowania pani, trzeba cudu, medycyna w tym razie jest bezsilną. Może tylko przezwyciężyć natura, ja nie mam już środka.

Dzień ten był zupełnie podobny do poprzedniego, wieczorem jednak zamiast gorączki, nastąpił sen i Antonina przepędziła noc spokojnie.

Po wschodzie słońca otworzyła oczy i spojrzała zdumiona.

— Maurycy! To ty! Więc nie marzyłam wcale. Jesteś przy mnie. Dlaczego ja tu jestem. Daj mi rękę.

— Miłosierdzie Boskie! — zawołał Bernard — uratowana.

— Mój dobry Bernardzie i ty także. Jakże okropnie cierpiałam. Moja głowa ciąży mi jak ołow, taka jestem wycieńczona na siłach.

Pan Destineuls słuchając promieniał z radości. Niecierpliwie połykał każdy wyraz wymawiany przez chorą i płakał ze szczęścia.

Maurycy całował ręce Antoniny.

— O — rzekł — będzie ci coraz lepiej, wyzdrowiejesz i odnajdziemy na nowo szczęście. Jesteś wolną Antonino, pan Parisot umarł.

Zadrżała i otwierając szeroko oczy wyszeptała:

— Wolna! Wolna!

Łza potoczyła się po jej wybladłej twarzy.

— O tak, moje dzieci — rzekł Bernard — możecie się kochać bez obawy, będziemy żyli spokojni zdala od naszych nieprzyjaciół.

— Niebo winno mi to szczęście i tobie Bernardzie — wyszeptała. — Piękne słońce — dodała — zwracając się ku oknu; musi być uroczo na świecie; jakie piękne kwiatki muszą być w ogrodzie.... O pragnęłabym....

— Mów, mów moje dziecko — wyrzekł Bernard w nadmiarze radości.

— Chciałabym mieć wielki bukiet z fijołków... dużo kwiatów, kwiatów, z domku w Bretanii, ty wiesz Maurycy....

Maurycy pobiegł na schody i zwrócił się ku placowi, gdzie sprzedawano kwiaty. Szukał wszędzie fijołków, których tak pragnęła Antonina.

— Kup pan lewkonie i fijołki — wołał przekupień — dla przyozdobienia pokoju pani twoich myśli i serca.

Zakupił cały pęczek kwiatów i wrócił do domu. Kiedy wszedł do pokoju, ujrzał Bernarda klęczącego przy łóżku Antoniny, która leżała wyciągnięta blada, z głową na poduszce.

— Umarła! moja córka umarła — wołał z jękiem.

— Umarła?

Maurycy rzucił kwiaty, które rozsypały się po łóżku, potem pochwyciwszy lustro zbliżył do jej ust. Na szkle nie pozostało żadnego śladu oddechu.

Śmierć zatem zabrała swoją ofiarę.

Przybyła siostra miłosierdzia, potem doktór, śmierć została stwierdzona stanowczo.

Skoro zbliżyli się Bernard i Maurycy upornie pozostawali przy zmarłej.

Bernard uniósł nieco zasłony pokrywającej zwłoki i ucałował Antoninę w czoło.

— Moje dziecko! Moje biedne dziecko! — wyszeptał.

Oto wszystko na co mógł się zdobyć w tej chwili.

Maurycy pozostał bez ruchu aż do dnia pogrzebu. Skoro przyniesiono trumnę, odezwał się:

— Pochowajcie ją z kwiatami.

Towarzyszył pogrzebowi i wreszcie po usypaniu już mogiły, widząc starca klęczącego w niemej boleści dotknął jego ramienia.

— O nie opuszczaj mię — rzekł tenże z trwogą. — Gdy jej nie ma, wszystkiego się lękam. Pozostań przy mnie, dopóki nie połączę się z mojem dziecięciem. Będziemy mieszkali razem.

Mogę ci teraz powiedzieć, że ona była moją córką: jedyny wyrzut mojego życia, jedyny grzech mej młodości. Pozostań, przyjdziemy tu codzień modlić się za jej duszę.

K O N I E C.